Nr. 3. Warszawa, dnia 20 (8) Stycznia 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DALSZE ROZRUCHY.

Nad Włochami przelatuje wicher rewolucyi, który iskry pożaru przygaszanego w Sycylii przerzucił do Toskanii. W Massie, Karrarze, Livornie wybuchły poważne zamieszki, które doprowadziły do krwawych starć między wojskiem a przeciągającym przez ulice tłumem. Jakkolwiek jednym z ojców czy piastunów uplanowanej rewolucyi był uwięziony kanonik, jakkolwiek inny prałat miał przepowiedzieć, że zajdą bardzo poważne zmiany w Rzymie, jakkolwiek telegraf donosi o naradach Crispiego z kardynałem Rampollą, nie sądzimy, ażeby szerzący się ruch wyszedł ze sfer marzących o odzyskaniu Rzymu dla papieża i ażeby do tego dążył. Co najwyżej przypuścić można, że kilku naiwnych fanatyków chciało przy tym ogniu upiec watykańską pieczeń i boleśnie poparzyło sobie palce. Rozruchy sycylijskie i toskańskie noszą na sobie wyraźne znamiona ekonomiczno-społeczne. Kiedy ministrowie włoscy daremnie łamali sobie głowy nad dźwignięciem kraju z bankructwa, kiedy gazety całego świata rozprawiały o niedoli finansowej Włoch, nie brano wcale w rachubę narodu. Zdawało się, że on tylko biernie wysłuchiwać będzie tych rozpraw i nie zabierze w nich głosu. Tymczasem on odezwał się i — jak zwykle — buntem. Ruina ekonomiczna, ogólne zubożenie było dla Rudinich, Giolittich, Crispich ciężkim kłopotem, trudnem zadaniem, ale dla społeczeństwa było brakiem chleba, niemożnością istnienia, rozpaczliwym niedostatkiem; gdy więc pierwsi jeszcze mogli dłużej radzić i rozmyślać, drudzy już nie mogli spokojnie cierpieć. Skutkiem tego żywioły burzliwe lub najbardziej przygniecione wystąpiły z otwartym buntem, pociągając za sobą coraz dalsze koła niezadowolonych.

Śród okrzyków, wydobywających się jako hasła z tej rewolucyi, najgłośniej brzmi skarga nędzy i żądanie zmniejszenia podatków. Crispi — a tem mniej król Humbert — nie jest głuchym na te wołania i pojmuje, że musi je w pewnym stopniu uwzględnić. Naturalnie, rząd musi przywrócić naprzód porządek i poszanowanie dla władzy, więc wysyła wojsko przeciw zbuntowanym, każe do nich strzelać, a uwięzionych karać. Niewiele jest obowiązków boleśniejszych nad tłumienie wojny domowej i zabijanie głodnych, niechcących cierpliwie znosić swojej nędzy. Crispi zatem ma zadanie bardzo przykre, ale bynajmniej nie w tym punkcie jest ono najtrudniejsze. Dla pokonania najliczniejszych zbiegowisk wystarczy mu siły zbrojnej, zresztą — jak zapowiadają ostatnie depesze — może zawiesić konstytucyę, ścisnąć cały kraj stanem oblężenia i wprawić w ruch władzą dyktatorską wszystkie środki, potrzebne do utrzymania spokoju. Daleko trudniejsze pytanie: co począć potem, gdy już wszędzie ów spokój zapanuje. Kule zamkną usta głodnym, ale ich nie nakarmią — a tu chodzi o nakarmienie. Dokonać zaś tego niepodobna bez zaprowadzenia oszczędności w administracyi, bez zmniejszenia wydatków na wojsko, a więc bez naruszenia zasad militaryzmu. Obecne przeto rozruchy włoskie podważają przedewszystkiem zewnętrzną politykę Włoch i pośrednio uderzają w trójprzymierze.

W opinii i prasie europejskiej utrzymuje się przekonanie, że Włochy, przystąpiwszy do troistego sojuszu, zobowiązały się mieć w pogotowiu pewną ilość wojska, potrzebną dla celów tej spółki a przerastającą ich siły finansowe. Tu ma się kryć źródło ich rujnujących wysiłków i klęsk ekonomicznych. Otóż śród licznych komentarzów, objaśniających położenie tego państwa, odezwały się dowodzące, że owa powinność jest bajką, gdyż przymierze z Niemcami i Austryą wcale nie przepisuje Włochom liczby wojska. Tak między innymi twierdzi b. prezes gabinetu, Rudini, który niewątpliwie zna kontrakt i tylko wolno przypuszczać, że go fałszywie wykłada. Rozumie się, niewtajemniczeni w umowę nie mogą tej kwestyi rozstrzygać, co jest wszakże dla nich dostępnem, to logika sytuacyi. Mianowicie jeżeli nawet Włochy przyjęły warunek utrzymywania pewnej określonej armii, to z chwilą, w której przekonały się, że jej ciężaru nie dźwigną, muszą albo całkiem go zrzucić, albo zmniejszyć, czyli zmienić swój stosunek do spólników. Ci ostatni zaś nie mieliby chyba żadnego interesu do upierania się przy wymaganiach, które poprostu pozbawiałyby sprzymierzeńca wszelkiej wartości. Bo na cóż Niemcom lub Austryi mogłoby się przydać państwo, zawichrzone wewnętrzną rewolucyą i zniszczone ekonomicznie? Dziś Italia jest bankrutką, za rok lub dwa będzie nędzarką. I jakiejże potęgi ona dostarczyć zdolna?

Tak się przedstawia sprawa ze stanowiska sojuszu. Toż samo rozstrzygnięcie nasuwa się w niej ze stanowiska interesu Włoch. Przeciw komu ubezpieczyły się one trójprzymierzem? Tylko przeciw Francyi. Chociaż Crispi oskarżył sąsiadkę o zamiary napastnicze, żaden rozważny umysł nie da się przekonać, ażeby ona tylko czyhała na sposobność do najazdu, który doprawdy nie wiadomo coby jej przyniósł w najpomyślniejszym wypadku. Francuzi nie kochają włochów, przyjemnie by im było ich rozgromić bez ryzyka, może nawet urwać kawałek ziemi, ażeby jednak poważnie myśleli o zaborze, w to trudno uwierzyć. Po za tą zaś dość urojoną groźbą, żadna inna nie wisi nad Włochami, znajdującemi się już z samych względów geograficznych w bardzo szczęśliwem położeniu.

O ile tedy ich opłakany stan zależy od polityki zewnętrznej, Crispi będzie musiał

sięgnąć po ten środek zaradczy. Jeżeli trójprzymierze nie zmusza Włoch do utrzymywania wielkiej armii, jest to karygodną lekkomyślnością ich przewodników, że tym kosztownym zbytkiem kraj rujnują. Jeżeli ich zaś zmusza, byłoby grzechem, gdyby państwa z tego obowiązku nie wycofali. Bądź co bądź, po uspokojeniu zamieszek Crispi nie uniknie konieczności obcięcia militaryzmu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W górach, otaczających Karrarę, toczy się walka między wojskiem a powstańcami, którzy zabrawszy broń w okolicy, stanęli do rozprawy orężnej. Zarówno w tej prowincyi, jak i w Massie, ogłoszono stan oblężenia. Bandy bowiem uzbrojone nie poprzestają na oporze władzom, lecz wpadają do miast i wiosek w celach grabieży, roznosząc naokoło postrach. Górzysty kształt kraju, posiadający mnóstwo kryjówek i miejsc niedostępnych, powstańcom ułatwia operacye, a wojskom utrudnia. Chociaż więc powstanie będzie wkrótce zduszone, jego rozbitki będą jeszcze długo tułały się w górach, tem bardziej, że ludność włoska dotąd otacza sympatyą wszelakiego rodzaju bandytów. Ma ona dla nich tradycyjną słabość bez względu na to, komu się opierają i kogo mordują.

Przy otwarciu posiedzeń sejmu pruskiego król osobiście odczytał mowę tronową. Ręce landratów, które zawsze mają dla niej entuzyastyczne oklaski, tym razem nie poruszyły się i mowa przyjęta została posępnem milczeniem. Nie zawiera ona bowiem ani jednego szczegółu, który zdolny byłby zachwycić tak gotowe zwykle do wzruszeń urzędowych serca landratów. Sucha, niemal surowa, narysowała położenie finansowe ciemnemi barwami, żądając jednocześnie: pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy. W narodzie ma się otworzyć, jak w gruncie Piły, niewyczerpany i niepohamowany wodozbiór, któryby bił w górę słupem podatków i dla którego rząd tylko obmyślałby coraz nowe kanaliki, odprowadzające nadmiar dochodów. Minister skarbu, Miquel, zapewnia, że taką fontannę wytworzy, jeżeli tylko przyjęte zostaną jego reformy podatkowe.

W sejmie niemieckim projekt podatku tytoniowego odesłany został do komisyi parlamentarnej, która ma go dokładnie zbadać i wyrzec swoją opinię. Podobno większość Izby chce go odrzucić, a w takim razie pokrycie dla przydanych pułków zawisłoby w powietrzu. Niewiele bowiem już jest gałęzi przemysłu, którym by można „upuścić krwi.“

Sprawca zamachu w Izbie francuskiej, Vaillant, podał do prezydenta prośbę o ułaskawienie, którą przesłano do komisyi sądowej. Anarchiści uprowadzili jego córkę, ale ją policya odnalazła i niejakiego Michela, który ją przechowywał, uwięziła.

W pradze czeskiej rozpoczął się proces „Omladiny,“ tajnego związku rewolucyjnego. Czytanie aktu oskarżenia (z wyłączeniem publiczności) trwało siedem godzin. Następnie przesłuchano głównego kierownika, zwanego „wielkim palcem.“

Śród magnatów węgierskich budzi się coraz żywszy opór przeciwko polityce Wekerlego, to znaczy przeciw ślubom cywilnym. Ze stronnictwa liberalnego wystąpili dwaj jego luminarze, Szapary i Andrassy. Dziwny to, chociaż często powtarzający się objaw, że magnaci, którzy przecież wzorują się na zasadach głowy państwa, chcą być konserwatywniejsi, niż cesarz.

Angielska Izba gmin odroczyła swoje obrady i umożliwiła Gladstonowi wyjazd do Biarritz. „Wielki starzec“ w snutej o nim legendzie ciągle jest zdrów, krzepki i rąbie codzień kloc drzewa w swym parku (dotychczas zrąbałby już całą puszczę!). Rzeczywiście zaś siły opuszczają go coraz bardziej i sam rozmyśla nad wyborem swego następcy w partyi whigów. Nie jest to zadanie łatwe, gdyż obok Gladstone'a nie ujawniła się żadna zdolność równej mu miary.

W Londynie zmarł ambasador francuski, Waddington, znany ze swych prac archeologiczno-historycznych.

BADANIA NAUKOWE.

TYPY TUŁACKIE.

Istnieją pewne typy, wśród różnobarwnej mozajki charakterów ludzkich, które od niejakiego czasu zwróciły na siebie baczniejszą uwagę ze strony nauki. Właśnie jedną z pośród takich postaci spotkaliśmy na parostatku *Dania*. Ktoś ściągnął na siebie moją uwagę, jak tylko wstąpiłem nogą na pokład tego parowca. A trudno było nie zwrócić uwagi na tę młodą jeszcze, bo zaledwie dwudziestoparoletnią twarz, z której każdego fałdzika wyglądało widmo zwątpienia i bólu. Młode jeszcze czoło, lecz zbrużdżone przedwczesnemi zmarszczkami, fałdy w kącikach ust, wszystko to świadczyło, że jakiś wewnętrzny ogień trawi w głębi tę młodą naturę. Niedbałość o siebie przeglądała z ubioru, nieuczesanych włosów, niechlujności zarostu. W drodze niejedną godzinę wypadło mi spędzić przy łóżku tego kogoś. Historya życia jego nie była zawiła. Niegdyś agent zbożowy, czuł się dość szczęśliwym w swoim zawodzie, który dawał mu możność ciągłej zmiany miejsca pobytu. Zmuszony do porzucenia tego zarobku, wpadł w jakąś nieokreśloną tęsknotę, która potem przeszła w apatyę. Otrząsł się z przygnębienia dopiero wtedy, kiedy do głowy zawitała mu myśl przepłynięcia Atlantyku. Ale zaledwie stanął w N. Jorku, dawna tęsknota wróciła spotęgowana i zmusiła go do powtórnego przejazdu przez ocean. Pomijam szczegóły, może najcharakterystyczniejsze. Kiedy mówił, ogarniało mnie złudzenie, że ktoś jęczy przede mną. Zresztą wszelkie rozmowy były jedną nieustającą skargą; wciąż zwracał się do kogoś, ażeby rozproszył jego wątpliwości: czy może mieć ufność, że poprawi swoje zdrowie, znajdzie zarobek itd. Zacząłem go zwolna dopytywać o przeszłość, z której chętnie się spowiadał, póki podejrzliwość nie przemogła. Odchodził wtedy, ażeby powrócić niebawem i znowu podjąć opowieść o swoich cierpieniach. Tęsknota była zasadniczym akordem całego jego życia — nieokreślona, zmuszająca go do przerzucania się z miejsca na miejsce, wszystko pożerająca. Czuł się szczęśliwym, póki gdzieś dążył; przyjazd na miejsce sprawiał mu rozczarowanie i nową tęsknotę. Opuściłem go w Berlinie, lecz nie wątpię ani chwili, że jeżeli obecnie nie jest blizki nowej wędrówki, czuć się musi bardzo nieszczęśliwym.

Mamy tutaj przed sobą postać jednego z owych typów tułackich, o których bliżej mówić zamierzamy — typów, czujących się dobrze jedynie wtedy, kiedy zmieniają miejsce pobytu. Prawdopodobnie, nie obdarzyłbym owego kogoś na pokładzie *Danii* taką uwagą, gdybym w nim nie spostrzegł rysów, których analizą zajmował się świeżo doktór Meige w szpitalu Salpêtrière (Paryż). Streszczenie wyników tej analizy wpadło mi do rąk akurat przed odjazdem z Ameryki, przypadek zaś chciał, ażebym na parostatku odnalazł żywy okaz takiego typu tułackiego. „Nie mija rok — czytamy w szkicu wspomnianego psychiatry — ażeby do kliniki nie przybłąkał się ktoś z wychudzoną twarzą, zbrużdżoną głębokimi zmarszczkami, w których osiadł smutek, z wielką a nieczesaną brodą,

---

3)

„PRZY TOBIE.“

Raz wziął jej dłonie w swe ręce i probując strofować, powiedział z życzliwym uśmiechem.

— Trzeba się czemś zająć — tak nie można. Jakie zajęcie lubisz pani najlepiej?

Zakłopotana szukała w myśli. Nie, nic nic nie lubi. Niechże ją tak pozostawią, niech pozwolą nic nie lubić, o niczem nie myśleć. Wszak to niby nie istnieć.

Pewnego dnia przyszedł w towarzystwie nieznanego mężczyzny.

— Czy nie za silne? — pytała z niepokojem matka, zastępując mu drogę.

— Sprobujmy — powiedział — milczenie ją zabija.

— Przyprowadzam pani znajomego, niegdyś kolegę jej męża.

Pierwszy raz to imię głośno przy niej wymienione zostało.

Czy nie pojmują, że jest to pchnięcie nożem? Po co mącić tę wielką ciszę — ciszę absolutnego grobu. Czegóż „ten“ może chcieć jeszcze od niej? Nie powie jej nic nowego.

Przez cały wieczór milczała, nie biorąc w ogólnej rozmowie udziału. Jednak jakieś pytanie wisiało jej na ustach. Gdy zostali sami, spytała szybko, cicho, z nagłym rumieńcem na twarzy:

— Znałeś go pan dobrze, zblizka?

Potwierdził.

— Czy nie mógłbyś pan mi wytłomaczyć? I podała kartkę.

— Garść zboża! Jakże, pamiętam. Tak był tem pochłonięty swego czasu.

I czując płonące wejrzenie z niepokojem w twarz swą wbite, opowiedział krótki, błahy wypadek, który jednak miał swe następstwa. Kiedyś, znajdując się na zamiejskiej wycieczce, byli niemal świadkami zdaleka podrzucenia niemowlęcia przez matkę. Zanieśli je do przytułku. Odtąd to nieszczęśliwe, nędzne, bezsilne stworzenie, skazane na pastwę wszelkiego wypadku, nie wychodziło mu z myśli. Parę razy dowiadywał się nawet o nie. Brano go za ojca. Ale to nie prawda. Prawdą było, że stał się nagle duchowym ojcem wszystkich nieszczęsnych porzuconych niemowląt. W intencyach naturalnie. Marzył o zużytkowaniu tego materyału na najszerszą skalę, o utworzeniu z tej siły, najczęściej marnie ginącej, czegoś kolosalnego, czegoś, co mogłoby z czasem stać się kamieniem węgielnym społeczeństw — więcej, ich drogą wytyczną. Myśl ta prześladowała go niemal do maniactwa. Zajął się pedagogią, przeczytał mnóstwo dzieł w tym przedmiocie, zwiedzał domy podrzutków, przytułki, ochronki. Z zakładów podobnych stworzyć wzorowe instytucye pedagogiczne, gdzie wychowanie, poczynające się od pierwszych dni życia, nie kończyłoby się aż do dojścia pełnoletności. Żadne prywatne interwencye nie zakłócałyby takiego wychowania, doprowadzonego do możebnej doskonałości, niezastygłego jednak, lecz przekształcającego się ciągle w miarę postępów pedagogii, w miarę roz-

w której giną rysy twarzy. Skarżącym się tonem przedstawia swoje dzieje, pełne bolesnych przygód i gdyby mu pozwolono, opowiadałby je bez ustanku. Urodzeni het daleko, gdzieś w ustronnym zakątku Niemiec, ludzie tego rodzaju cierpią nędzę od kolebki, nadto choroba ich nie opuszcza. Powędrowali w świat dla szukania zarobku i zdrowia, ale nigdzie nie zdołali znaleźć pracy i leków na swoje dolegliwości. Po długiej tułaczce pieszo, wystawieni na pastwę fali, wiatrów i zimna, przybywali w opłakanym stanie do Salpêtrière, zwabieni rozgłosem tego szpitala. Wszyscy ci przybysze odznaczają się tymi samymi charakterystycznymi rysami; jednako są bowiem opętani przez żądzę tułacką. Wędrują od miasta do miasta, z kliniki do kliniki, poszukując leków, których nigdzie nie znajdują. Probują wszelkich możliwych środków, wciąż gonią za czemś nowem. Niedługo przecież trzymają się zaleconej kuracyi i za lada wymówką porzucają ją, gdyż budzi się w nich żądza tułacza. Wtedy chory ucieka pewnego dnia, wabiony płonną nadzieją, że znajdzie zdrowie w jakim dalekim zakątku!" Dodajmy, że powyższa analiza obejmuje tylko żydów — dlaczego, zobaczymy niebawem. Dr. Meige kreśli sylwetkę jednego z takich tułaczów, którzy nigdzie nie mogą zagrzać kąta, opętani manią wędrowczą. Jest to niejaki Mojżesz B., rodem z Warszawy, lat 38. Już w roku piętnastym puścił się na szeroki świat, a nie mając w ręku żadnego zawodu, tułał się z kraju do kraju bez określonego celu. Zatrzymał się nieco dłużej w Peszcie, ożenił się tam, miał kilkoro dzieci. Ale żądza tułaczki zwyciężyła. Nie oparł się jej, póki nie dotarł do Palestyny, gdzie pozostawił swoją rodzinę, sam zaś puścił się na wędrówkę, co lat kilka wracając na parę dni do swoich. Jako przyczynę, ów żyd-tułacz przytacza to, że szuka lekarstwa na chorobę, na którą cierpi oddawna, a która nie daje mu spoczynku i wytchnienia. Radził się mnóstwa specyalistów i kiedy zapisywano mu nowe lekarstwo, wyciągał receptę starą na dowód, że używał tego środka — nadaremnie. Cała jego postać była w najwyższym stopniu oryginalna. Twarz wychudła znikała w zaroście, utrzymywanym w nieładzie, brud przejadł odzież i ciało. Czoło było poryte zmarszczkami, pomiędzy brwiami nad nosem nabrzmiały grube fałdy, nadające twarzy wyraz znękania i dręczącej zadumy. Mówi tonem żałosnym, niby jęczy, zatrzymuje każdego, jak gdyby błagał o jałmużnę. Skarży się nieustannie na swoje dolegliwości i zrozpaczony płacze i błaga o pomoc. Lecz kiedy dają mu radę, naprzód słucha uważnie, później ironia zarysowywa się dokoła ust jego. „Nie, to nic nie pomoże! Znam to, już próbowałem!" I potrząsa drwiąco głową, jakby mówił, że cierpienie jego, będące, według Meige'a, wzorową formą nerwicy, jest wyższe ponad naukę lekarską. Tułacz ten spędził rok czasu w szpitalu Salpêtrière, posępniał z każdym dniem coraz bardziej, aż wreszcie znikł pewnego poranku, puszczając się w dalszą drogę.

Dr. Meige poprzestał jedynie na rozbiorze tułaczów-żydów, jak gdyby ów szczep posiadał wyłączny monopol dostarczania tego rodzaju rozbitków. Uczynił to, uderzony podobieństwem, jakie dostrzegł pomiędzy badanym typem a średniowiecznymi opisami żyda wiecznego tułacza. Zaznaczmy z góry, że postać żyda wiecznego tułacza nie jest wcale zmyśloną. Kroniki i akta miejskie z w. XV, XVI i XVII zapisują jego ukazanie się, rysunki kreślą jego postawę, piosnki ludowe przekazały dalszym wiekom inne szczegóły, jak ze skargą na ustach wędruje po krajach. „Żyd wieczny tułacz z dawnych kartonów jest istotnie żydem tułaczem, jest to żyd tułacz z kliniki salpêtrièrskiej" — powiada cytowany psychiatra. Legenda usnuła swoją opowieść z pierwiastków rzeczywistych. Lud widząc co lat kilka lub kilkanaście zaniedbaną postać tułacza, różne osoby zlał w jedną i usnuł legendę o wyrzutku, który tuła się od początków ery chrześciańskiej, nie mogąc nigdzie zaznać spokoju.

Ale analiza d-ra Meige'a nie jest wystarczającą. Już zaznaczyliśmy, że jest jednostronną, ponieważ nie wybiega po za szczep semicki. Posiada nadto jeszcze inną wadę. Lekarze paryskiej kliniki uważają nędzę tułacza za owoc nerwicy, może histeryi. Szuka on pomocy, ponieważ cierpi. Wędruje z kraju do kraju, wyglądając cudotwórcy, któryby go uzdrowił. Nam się zdaje, że cierpienia są pierwszą przyczyną, poszukiwanie zaś cudotwórcy dopiero w ciągu dalszym zjawiło się w umyśle tułacza. Dowodzą tego studya antropologów nad przestępcami-włóczęgami, którzy wędrują podobnie, lecz nie noszą na swojem czole tego piętna bólu, jakim odznacza się typ, badany w Salpêtrière. Świadczyłoby to, że do rąk badaczów francuskich dostała się tylko jedna z odmian nędzy tułackiej, skomplikowana przez daleko posuniętą nerwicę. Rosya jest kopalnią takich włóczęgów. Maksymow i inni poświęcili temu przedmiotowi obszerne prace. Właśnie mamy pod ręką notatkę Dymitra Drilla, wybitnego badacza w zakresie kryminologii, nad tego rodzaju postaciami. Malec dwunastoletni, szczupły, drobny, z oczami niespokojnie biegającemi, bojaźliwy, patrzy zawsze na dół i wogóle nie ufa otoczeniu. Poddaje się łatwo pieszczotom, przy pomocy których wszystko można z nim zrobić, ale na surowość odpowiada uporem. Dyrektor domu poprawczego, w ktorym został osadzony, odzywa się o nim, że jest to niepoprawny tułacz, który zawędruje prędzej lub później aż na Sachalin — za swoją manię. Kiedy panuje pogoda, wówczas całem jestestwem malca owłada jakiś niepokój, a jego tęsknota dochodzi do chorobliwego napięcia. Coś, niby niepowściągniona moc, wabi go na słońce, ciepło, wolne przestwory — coraz dalej i dalej. Dzieciak, zdaje się, jest nader nerwowej budowy, przedstawia bardzo wrażliwą naturę, która żywiołowo, instynktownie łaknie coraz nowych wrażeń, podniecających żywotność organizmu i podnoszących zdrowie. „Sądzę — powiada dyrektor — że jest to potomek owych pątników i pielgrzymów, których Rosya swego czasu liczyła krociami, a którzy sami nie wiedzieli, co za ukryta sprężyna pcha ich z miejsca na miejsce." Skąd malec pochodzi, nie wiadomo. Przebył on olbrzymie przestrzenie, ukryty pod wagonami towarowymi. Kiedy pociąg się zbliżał do większych stacyj, zsuwał się on na ziemię, po nad nim przechodziły wagony — z niebezpieczeństwem dla jego życia. Razu jednego koło przejechało mu palce. Gdy go znaleziono, został oddany do domu poprawczego. Przebył tam od marca do czerwca — i uciekł. Dobrowolnie wrócił w lutym. Zagadnięty o powody ucieczki, odrzekł: „Tęskniłem, chce mi się wciąż nowych widoków!" *).

A zatem mamy przed sobą typ tułacki, gdzie żądza wędrowcza występuje z większą wyrazistością, aniżeli na okazach z Salpêtrière, z braku mącących analizę domieszek. Typ ów był przedmiotem jeszcze dalszych studyów. Prof. Benedikt **) poświęcił włóczęgom osobną pracę, z której przytoczymy ostateczne wnioski. „Nie ulega najmniejszej wątpliwości — powiada ten badacz — że istnieją zarówno jednostki, jako też całe rasy, które przychodzą na świat z popędem włóczęgowskim. Skłonność ta występuje na jaw w najrozmaitszych warunkach, nawet najmniej sprzyjających. Podstawowym podkładem tego popędu jest nerwica fizyczna, moralna i duchowa, uniemożliwiająca okazom tego rodzaju zarabianie na siebie — przynajmniej pracą ciągłą, prawidłową. Innym szczegółem, godnym uwagi, jest pewna peryodyczność w ich duchowości. Również od popędu włóczęgowskiego nieodłączną

*) Dr. Henry Meige: *Le juif errant à la Salpêtrière*, Paryż.

*) Porównaj *Juridiczeskij Wiestnik*, tom VII, str. 640 i nast.

**) *Annales d'hygiène*, 1891.

---

woju wieku. Nie istniałyby żadne pretensye „właścicieli" dzieci, żadne uboczne wpływy rodzin i stanów. Wychowańcy z chwilą wstąpienia do zakładu znaleźliby się odrazu po za obrębem wszelkiego zepsucia, wszelkich fałszywych sytuacyj, nędzy moralnej i materyalnej; kultura dawałaby im tylko czyste owoce. Etyka powinna byłaby mieć zastosowanie na najszerszą skalę, iść ręka w rękę z rozwojem sił umysłowych. Przy uwzględnieniu, więcej, pielęgnowaniu indywidualności — wysoko pojęta zasada uspołecznienia. Sam zakład stałby się żywym przykładem życia społecznego z jednej strony, z drugiej — rodzinnego, z jego ciepłem serdecznem i przywiązaniami. Wychowańcy nie powinni niczemu zazdrościć, niczego żałować. W chwili, gdy doszedłszy dojrzałości, opuszczać będą dom taki — powinni opuszczać go ze łzami, jak dom rodzinny, z nadzieją, że w kolei dalszych losów, w gorzkich swych chwilach zawsze uciec doń będą mogli — po ciepło, jeśli potrzebować go będą, po pomoc, jeśli obejść się bez niej nie potrafią. Zakład ma mieć znaczenie nietylko szczególne, dotyczące jedynie wychowańców, lecz stać powinien ogółowi jako wzór pedagogiczny, jako wzór ludzi przyszłości. Każde z tych niebieskich, jak je zwał, ziarnek zboża, przeznaczonych dzisiaj na zmarnowanie, tu zostanie wypielęgnowane, wyrośnięte w kłos bujny, zawierający w sobie pewną sumę ściśle dodatnich przymiotów, posiadający prócz tego siłę wydajną, impuls do czynu. I gdy po opuszczeniu zakładu ta garść bujnego zboża rozsypie się wśród społeczeństwa — przyjdzie z nią, przyjść musi, pierwszy ranny posiew przyszłości...

Zamyśliła się. Dziwna, nigdy jej o tem marzeniu młodzieńczem nie wspomniał. Czy był już tak dalekim od niego, czy może uczuwał tę drażliwość, jaką zwykle budzi wspomnienie nieurzeczywistnionych marzeń? Więc i on miał swoje chwile w młodości, gdy współczucie niedoli chciało w czyn się urobić? Więc i on czuł potrzebę czynu, pożądał go?

Był zawsze taki smutny, tak posępnie rozgoryczony. Na wielkie zło — wielkie środki, a gdy tych nie ma — cóż pozostaje, jeśli nie milczenie stoika? I potrafił zamknąć się w sobie, potrafił bez skargi — milczeć. Lecz w głębi jego duszy była jakaś rana, o której jej nawet nie mówił, którą tylko odgadnąć starała się — ciemna, sącząca, codzień otwierająca się. Ona to czyniła go takim smutnym, tak ciągle wyrywającym się ziemi, jakby go tu już wszystko do ostatka, tak, do ostatka zmęczyło. Lecz pierwej — wtedy — nie musiał być takim. Miał swoje gorące, szerokie marzenie czynu, żywego czynu. Czemu później porzucił to marzenie? Czy nawet w całej swej rozciągłości wydało mu się za małem, czy niewłaściwem? Nie lubił półśrodków nigdy, ani półdziałań, ani półkroków. A jednak... Robota każdego pokolenia — nie wierzył w nią, jak nie wierzył w prostość dróg, które nie widzą przed sobą jasno postawionego celu. A jednak...

Był czas, gdy marzył o tem. Stworzył zamiar i wierzył weń. Gdyby była możność urzeczywistnienia, czy nie kusiłby się o nią? Poświęciłby mu wszystkie swe myśli, wszystkie swe siły; gorące serce jego tak czułoby się szczęśliwem, garnąc

jest klaustrofobia, tj. uczucie męczącej trwogi i niepokoju w ciasnych i zamkniętych miejscach. Nie jest to stan wyłącznie i ze swego pochodzenia nerwowy, lecz znajduje się w pewnej zależności od organów oddychania i krążenia krwi. Fizyologia ma tutaj wdzięczne pole przed sobą do studyów: owo uczucie klaustrofobii odgrywa olbrzymią rolę w duchowości szczepów koczowniczych, które tak trudno poddają się kolonizacyi. Warto zaznaczyć także inny pierwiastek w naturze włóczęgi: ogólną nadwrażliwość duchową, raczej wrodzoną, aniżeli nabytą, która uniemożliwia mu zajęcie się czemkolwiek systematycznie.“ Wreszcie badania doktorów Huyghe i Magalhaesa *) rzucają ostateczne światło na klaustrofobię, będącą, zdaje się, jednem z najgłówniejszych źródeł żądzy tułaczej. Osoby, dotknięte artrytyzmem piersiowym, czują dziwny niepokój we wszystkich przestrzeniach ograniczonych: w kościele, sali koncertowej, zwłaszcza jeśli drzwi są zamknięte. To samo dręczące uczucie opanowywa je w górach i nawet na równinie, pod otwartem niebem, jeżeli się znajdą wśród licznego tłumu.

Widzimy tedy grupę postaci pokrewnych: od osoby, zaniepokojonej w górach lub w zamkniętej sali, aż do bezustannych tułaczów z jasno zarysowaną nerwicą; od koczownika, czującego się dobrze na wolnej przestrzeni stepu, do włóczęgów, karanych ręką sprawiedliwości, podróżników i turystów, narażających się na nieustanne przygody, pątników, idących z pielgrzymką do miejsc świętych, lub komiwojażerów, rozwożących towary. Czas i miejsce, stanowisko i wykształcenie rozstrzyga o tem, w jakiej formie uwydatni się natura owych typów lub czy znajdą one szczęście albo też życie ich będzie pasmem niedoli i trawiącej tęsknoty.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Romantyzm i dekadencya. — Ideały przeżyte. — Panie Humphrey Ward i Margaret Deland.

Carlyle spopularyzował w Anglii rezultaty krytyki niemieckiej w zastosowaniu do wiary pozytywnej. Pod jego wpływem znaczna część inteligencyi angielskiej odrzuciła dogmaty kościelne, zachowując wszakże szacunek nie tylko dla etyki chrześciańskiej, ale przez dziwną sprzeczność, a może i obłudę dla protestantyzmu, który formalnie praktykują. Biskup Colenso i Karol Kingsley ostatecznie przyczynili się do wytworzenia tej atmosfery chrześciańsko-protestanckiego socyalizmu, który zajmuje miejsce pomiędzy Armią Zbawienia i związkiem towarzystw biblijnych. Nastrój duchowy współczesnej inteligencyi europejskiej przedstawia dziwne podobieństwo ze stanem ducha początków romantyzmu w przeszłem stuleciu. Przyjrzyjcie się, proszę, postaci takiego Fryderyka Schlegla — wszak to zblazowany dekadent w pełnem tego słowa znaczeniu. Weźcie do ręki jego „Lucyndę“: toż samo łączenie katolickiego mistycyzmu, który jest nie polotem wierzącego, lecz grymasem dyletanta, z wyuzdaniem płciowem, jakie obecnie widzimy nie tylko w najmłodszej literaturze francuskiej lub śród estetów angielskich, ale nawet w muzyce Wagnera. Czem jest wskrzeszenie mitu o św. Graalu u tego niedowiarka, zwłaszcza jak on występuje w „Passifalu,“ jeżeli nie tego rodzaju grymasem? Charakterystyczne, iż to sadzenie się na religijność i u niego idzie zawsze w parze z rozpasaniem zmysłowem. Dość wspomnieć słynny chór pielgrzymów w „Tannhäuserze“, gdzie główny motyw jest czysto religijny, rozdarcie duchowe i rozpacz potępieńca, a akompaniament—to szał namiętności doprowadzony do ostatnich swych granic, ryk stada wilków, z zarzewiem w ślepiach, wyjących z głodu śród ciemnej, mroźnej nocy. Czem jest nietzscheanizm, jeżeli nie teoryą „des genialen Ich“ romantyków? Czyż kult dla symbolu młodej współczesnej estetyki nie przypomina w zupełności namiętnych dążeń ku nowej mitologii, która romantykom wydawała się jedynem zbawieniem? A jeżeli i teraz pod koniec przeszłego stulecia sztuka zwracała się z nadzieją ku katolicyzmowi, to tylko dla tego, iż on wypracował bogatą symbolikę i mitologię, a bynajmniej nie za pobudką wiary. Wprawdzie to, co z początku było małpiarstwem dyletantów, z czasem drogą auto-suggestyi stało się prawdziwą wiarą — i to być może przyszłość nam gotuje — ale w danej chwili chodzi nam głównie o to, iż dekadencya narówni z romantyką jest skutkiem znużenia. W przeszłem stuleciu umysł zmęczony pracą „wieku świateł“ i encyklopedystów, szukał ucieczki w wymyślaniu wytwornych bluźnierstw, obecnie myśl ludzka, wyczerpana zmudną pracą pozytywizmu, szuka wytchnienia zupełnie w ten sam sposób. Tam reakcya nastąpiła po Voltaire'ze i Montesquieu, tu po Tainie i Renanie. Kto wie? Może jesteśmy w przededniu odrodzenia się wiary, czegoś w rodzaju nowej Restauracyi. A może nowa wiara przybierze formy nowych ideałów społecznych? Niestety, ideały te nie posiadają jeszcze żadnych kształtów artystycznych i emocyonalnych, któreby mogły napełnić zachwytem i pociągnąć za sobą. A trzeba być wielkim optymistą, aby wierzyć, iż zbawienie wyjdzie od kupki geszefciarzów i polityków, zasiadających w tej lub owej Izbie lub Reichstagu. Bądź co badź chwilowo wszystko, co w zachodnio-europejskiej literaturze przedstawia jakikolwiek talent, zarażone jest dekadencyą i mniej więcej świadomie błaznuje, uganiając się za wyrafinowaniem w tym lub owym kierunku. Ideały pozytywne, które niegdyś przyświecały epoce kapitalizmu, znajdują się w zupełnem bankructwie. Zola, który obrazami ujemnych stron obecnego życia oddał znakomite usługi, swym naturalizmem i kultem „pracy“ abstrakcyjnym tak się naprzykrzył — hr. Tołstoj słusznie zarzuca, iż „praca“ wogóle wytwarza istoty zadowolone i okrutne i sama przez się żadnej zasługi nie przedstawia — iż wspomnienie chwilowych zachwytów nad zolizmem trapi naszą epokę, jak zgryzota. Jeszcze gorzej dzieje się z tymi, co starają się nawiązać nić tradycyjnych ideałów, hołdując różnym wzniosłym etykom bez wiary, socyalizmom chrześciańskim itd. Dowodem pisarze angielscy tego odcienia.

Czegoś podobnego dokonać mogą tylko kobiety: w Anglii jest co niemiara tych nieszczęśliwych, dokonywających cudów energii pisarskiej ze spokojem i pogodą, które wprawiają w zdumienie. Na pierwszym planie znajdują się tu panie Humphrey Ward i Margaret Deland. Pierwsza jest siostrzenicą słynnego Matthew Arnold'a, który główne swe dzieła — *Literature and Dogma*, *Saint Paul and Protestantism*, *Last Essays on Church and State* — poświęcił udowodnieniu myśli, iż etyka chrześciańska ma wielką doniosłość i jest koniecznym warunkiem i źródłem szczęścia. Pani Ward postanowiła rozpowszechnić tę filozofię śród tłumów za pomocą romansów. W „Robercie Elzemero“, autorka wykazuje, jak wierzenia młodego „clergymana“ stopniowo podkopane zostają przez niemiecką krytykę w osobie uczonego Wendowera. Po wielu walkach wewnętrznych fiozofia M. Arnolda zapanowywa w duszy Roberta, który zakłada gminę, opartą na „nowem braterstwie“; z dawnej wiary bohater zachował tylko litość ku drobnym, cierpiącym, uciśnionym.

Pani Margaret Deland obrała w najlepszym swym romansie „John Ward, prea-

*) Porówn. sprawozdanie B. Pereza, *Revue philosophique*, 1892, styczeń.

---

ku sobie tych wszystkich porzuconych, wydziedziczonych. Niebyłby już smutny, ani rozgoryczony, rana jego piersi nie krwawiłaby tak ciągle.

I nie straciłaby go tak bez śladu, tak okrutnie bez śladu, nie przeszedłby bez cienia...

Długo w noc snuła podobne myśli. Zdało jej się, że skądś, z daleka — z daleka— przypływają ku niej jego dawne, gorące, młodzieńcze marzenia, jego pragnienie czynu i wiara w czyn. Za mną, za mną, za mną — wołały ku niej i same leciały naprzód. Myśmy silne, żyjące, młode, przy nas przyszłość i światło, przy nas życie — wieczne, potężne, nieśmiertelne.

Czuła, jak te głosy porywają ją za sobą, jak musi lecieć za nimi ku życiu wszystko ogarniającemu, wszechwładnemu. Przy nas prawda i życie, nieśmiertelność przy nas!

Niby powiew jakiś ogarnął jej skronie, niby geniusz w przelocie skrzydłami o serce jej musnął — zdało się jej, że w tem sercu coś nagle porwało się ze snu i drgnęło życiem.

— To ty, to ty przychodzisz — szeptała — ty nieśmiertelny, żyjący, ty— w czynie! Nareszcie! Tyś przy mnie — przy mnie...

W myśli jej mknęły obrazy, jak obłoki w żywym przelocie, jasne, słoneczne, szybkie. Dom pełen niemowląt, piastunki, ogrody Frebla, szkoła, młodzież. Dokoła niej wre życie, żywe, źródłem bijące, pełne nadziei przyszłości. Ona i grono pomocnic — praca, z wiarą w jej korzyść—i zewsząd szczęście, uciecha, miłość. Wielka, długa, pochłaniająca działalność, droga ku niej bardziej jeszcze mozolna — wszystko, co posiada, w nią rzuci. Nic odstręczy jej ani praca, ani trud, ani czas. Nie cofnie się przed niczem; nie powie sobie nigdy: to niemożebne. Nie stanie — aż zdobędzie.

Jak duszno! Żarem wieje czerwcowa noc przez otwarte okna. Krew tętni w żyłach i serce porywa się. Wstaje — i cicho, szybko biegnie do jego gabinetu. Tam z pod wieńca, z półmroku letniej nocy witają ją wejrzeniem miłe, rzewne oczy. Takim był wówczas. Wpatruje się; oczy zachodzą mgłą, pochyla głowę i gorącem czołem przypada do ramy portretu.

— Luby mój, a ja myślałam, że nie znajdę ciebie, że nie przyjdziesz do mnie. Przebacz, jedyny! Byłam tak nieszczęśliwą. Myślałam, że cię już nie mam, a ja tylko znaleźć cię nie mogłam. Teraz wiem, żeś był, że jesteś i zawsze już pozostaniesz przy mnie. Nie zaginęły twe myśli, ani twoje serce wielkie. Przez wieki wieków trwać będą. „Garść zboża“ urośnie, nie zdepcą jej przechodnie. Każde z tych ziaren wołać będzie do ciebie, głosić twe imię światu. Szeroko, daleko padnie twój cień. Będę to słyszeć i widzieć. I będę czuć, że jesteś zawsze na ziemi, przy mnie. Będę codzień zasypiała pod skrzydłem twej myśli, w promieniu twojej miłości. Teraz nas śmierć już nie rozdzieli, teraz jużeśmy jedno — jedna myśl, jeden czyn. Coś ty rzekł, ja spełniam. Jedyny mój — odtąd tyś przy mnie na wieki, na wieki... I patrz — miłość od śmierci silniejsza!..

Z.

KONIEC.

cher“ temat zupełnie podobny do treści „Roberta Elzemere.“ Ten ostatni staje się, jak widzieliśmy, sceptykiem, żona zaś jego do końca trwa w wierze. John Ward natomiast, będąc także pastorem, pozostaje wierny dogmatom, ale tu znowu żona jest wolnomyślicielną. Pomimo głębokiej miłości wzajemnej tu różnica przekonań staje się kością niezgody. Helena Ward nie przyznaje innej religii, oprócz religii litości. „Jeżeli Biblia naucza mnie czegoś, czego ani mój rozum, ani sumienie przyjąć nie mogą, nie pozostaje mi nic, jak zerwać z nią.“ Takie przekonania są jeszcze w Anglii zwłaszcza śród kobiet „évenement'em.“ Zaiste, te dramaty, odbywające się w duszy pastorów i ich burzycielskich żon, są już mocno przestarzałe. Jest to już prawie niesmaczne, zwłaszcza w rozwlekłem opracowaniu p. Deland, której rzadko tylko udaje się wydobywać tony żywsze. Johna trapi myśl rozłączenia po śmierci: bo on, jako wierzący pójdzie do raju, ona natomiast nie wiadomo gdzie się podzieje. Helena odpowiada mu w ten sposób:

„Mój kochany, niebo moje zawiera się w twej miłości. Jeżeli Bóg istnieje i jest dobry, nie rozłączy nas na wieczność. W przeciwnym razie wstąpimy razem w otchłań cieniów.“ Bogobojny wszelako John nie może się pogodzić z takim radykalizmem, rozłącza się z żoną i przypłaca ten krok życiem. Ona staje się wówczas ochmistrzynią innego pastora, swego wuja. Zaiste trzeba mieć dużo świeżości, aby odczuwać takie dramaty; zresztą to otoczenie anglikańskich pastorów, tak ukochane przez autorki, obraża nas swą drobiazgowością, świątobliwą obłudą i bezmiarem cnót wszelakich.

Z biegiem czas wszelako p. Doland przestraszyła się własnego radykalizmu: chwiejność jej stanowiska wyjaśniła się, W następnej powieści „Sidney“ mamy już przed sobą rezolutną deistkę. Panna Sidney, wychowana przez ojca w „najgłębszym materyalizmie“ — jest to straszydło na stare dzieci — dochodzi w końcu pod wpływem boleści, spowodowanej przez miłość nieszczęśliwą, do wiary pozytywnej. „Czy jestem istotą nieśmiertelną; czy istnieje życie pośmiertne? Nie wiem, i dociekanie tych rzeczy wydaje mi się bezużytecznem. Wiem tylko, iż Bóg istnieje i że życie ma cel, to mi wystarcza.“ Sądząc z tego wyznania, chwiejność autorki nie zupełnie znikła, mamy tu być może raczej ustępstwo opinii, aniżeli zmianę przekonań. Miłość męża i litość dla biedaków — taką jest mniej więcej religia słynnych autorek. W imieniu takich ideałów trudno zaiste stworzyć cokolwiek artystycznego. Zresztą obie autorki zajęte są bardziej udowodnieniem swych tez filozoficznych i dyskusyami z ludźmi innych przekonań, aniżeli istotną twórczością. Ludzie, których tworzą, mają w sobie często bardzo wiele automatycznego. Są to automaty bardzo zdobnie sfabrykowane, ale nie żywe istoty. Pani Ward zwłaszcza ściąga na siebie w znacznym stopniu te zarzuty. Posiadając wiele dyalektyki i wiadomości filozoficznych, ma mniej energii twórczej. Bohaterowie i bohaterki p. Deland są żywsi, ale zarazem i pospolitsi. Autorka ta jest właściwie amerykanką i może to pochodzenie zostawiło na niej stępel okropnej banalności i pozytywizmu, jakkolwiek są to tylko błyski, gaszone zwykle zalewami rozwlekłości.

L. W.

LITERATURA CZESKA.

Przy końcu roku ubiegłego wyszła zajmująca książka, napisana przez p. Jarosława Wlczka p. t. „Dejiny české literatury“ (zesz. I, Praga 1893). Jest to podręcznik oparty na zasadach pewnych, obejmujący całokształt cywilizacyi społeczeństwa. Rozwój duchowy każdej epoki według p. W. stanowi całość zależną od pewnych wpływów. W całości tej, będącej raczej ciągłością, krzyżują się prądy, których ideał tkwi w probierzu samej epoki. Państwowość, ugruntowana na cnotach obywatelskich, była poniekąd wyrazem starożytności klasycznej. U chińczyków władca stanowi uosobienie wszelkiej doskonałości, a przeto i bóstwa. Egipcyanie widzieli w królu najwyższego kapłana. Bramanizm indusów, przeklinając rzeczywistość, w życiu pozagrobowem, w oderwaniu się od materyalnej podstawy życia widzi szczęście śmiertelników. Ascetyzm podobny do zwyczajów bramańskich przejawia się w życiu wieków średnich. Podobneż stosunki zachodzą w jednostkach. Dążności pisarza wyłaniają się z jego subjektywizmu, dlatego też w ideałach piszącego, widzi p. W. ocenę jego działalności umysłowej. Autor, doskonały znawca piśmiennictw europejskich, wykazuje wpływ i stosunek ich do literatury czeskiej. Pominąwszy niepewne dzieje pogańskie, opowieść swoją zaczyna od IX wieku, kiedy w starciu dwu cywilizacyj, bizantyńskiej z rzymską, ta druga otrzymała zwycięztwo i wsiąknęła w życie narodowe. Tu nadmienimy, że starcia tych prądów w zaczątkach kultury czeskiej nie było; gdyż Czechy i Morawy wpływowi z Konstantynopola nie ulegały. Sami zresztą książęta prazcy: Spicygniew i Wratysław, synowie Borzywoja, od r. 895 byli w sojuszu z Arnulfem karynckim, który, jak wiadomo, sprowadził madjarów, owych burzycieli państwa W. Moraw. W zaraniu już dziejów czesi chwycili się kultury zachodniej i po wszystkie wieki jej hołdowali. Poezya rycerska kwitła tam do połowy XIV w. Nowe prądy wynikłe z nominalizmu, objawiające się w szatach alegoryi, satyry i paraboli, przygotowują glebę do wielkiego ruchu religijno - społecznego w XV. Wyrazem tej epoki jest Tomasz Sztitný, karcący ostremi słowy upadek moralny społeczności i kościoła. Na tem kończy się zeszyt I.

Z popularnych książek ozdobionych wspaniałemi ilustracyami, zasługuje na uwagę Dolenskego Jana „Obrazkowé Dějiny narodu českého“ (Praga 1853) i „Česká Hronika“ Józefa Laciny (Kolda Malinského). Obaj autorowie mimo gorącej miłości dla wszystkiego, co swojskie, umieją atoli przedmiot swój wyłożyć bezstronnie i beznamiętnie, co już stanowi niemałą zaletę prac podobnego rodzaju.

Na tle pierwotnych dziejów Czech osnuł p. Juliusz Zeyer tragedyę p. t. „Neklan.“ Poeta mówi w przedmowie, że zamierzał stworzyć tragedyę w duchu schakespearowskim. Przenosi on nas w czasy pogańskie, kiedy Neklan ks. prazki zwycięża w krwawym boju Włastisława ks. łuckiego pod Turskiem. Ten ostatni uwodzi dziewkę, niejaką Klimbę, a zadowoliwszy żądze swoje, oddaje ją w małżeństwo przyjacielowi Tyrowi z Chynowa. Wrząca zemstą Klimba topi żelazo w piersiach wiarołomnego Włastisława i przed mężem swoim Tyrem, tajemnym chrześcianinem, chełpi się ze swojego czynu, lecz nie doznaje od niego spółczucia dla zbrodni. W utworach tych ze świata pogańskiego. przeziera pesymizm. Nie sądzimy, aby Neklan czytał już w czasach onych Schopenhauera i Hartmanna.

Powieść p. Fr. Ksaw. Swobody p. t. „Probuzeni“ przedstawia eksperyment psychologiczny. Bohater główny Pluharz jest młodzieńcem czynnym i wrażliwym. Otoczony księgami, pozbawiony snu, staje się nader nerwowym. Wieś dopiero wprowadza go w inny świat i odradza duchowo. W stosunku bowiem do życia miejskiego, zbyt złożonego i trudnego dla obserwacyi, wieś wyróżnia się pierwotną prostotą, niezłożonością i pochwytniejszą dla zmysłów. Tutaj uczucie kojarzy się z poznaniem, wzajem się dopełniając. Miłość Pluharza na wsi jest nowym procesem psychologicznym. Wzmocniony w nerwach, skłonniejszym się staje do wrażeń zmysłowych i wynikających stąd uczuć. Zadaniem jednak autora nie było skreślenie obrazu objektywnego, lecz raczej wykazanie sposobu odczucia wrażeń w duszy Pluharza.

Więcej naturalistycznym jest p. A. Mrsztik, autor „Obrazków morawskich.“ W „Dobrych duszach“ kreśli nam pełen prawdy obraz z życia tamtejszych wieśniaków. Umiejętnie charakteryzując ich, nie zaniedbał wszakże p. M. wykazać ich zależność od przyrody. W nizkiej i nieogrzanej izbie leży stary oracz na tapczanie, oczekując chwili śmierci. Przed oczyma jego przesuwa się cała przeszłość. Smutna ona i czarna, bo ani jeden promień światła nie zajaśniał w tym labiryncie zgryzot i cierpień bez miary. Opuszczony przez żonę i dzieci, które zmarnowały chudobę, w ciężkiem utrapieniu wydaje ostatnie tchnienie. Na pogrzebie dopiero pojawia się niezbyt czuła małżonka, wołając za trumną: „Puśćcie mnie za nim... Cóżeś mi uczynił mężusiu drogi?.. Biada mi sierocie“! Nie było to jednak wyrażenie żalu, lecz raczej chęć zwrócenia uwagi kumoszek, dla wzbudzenia spółczucia. Inna powiastka tego autora p. t. „Droga“ jest żałwą księgą tych wzgardzonych i opuszczonych chłopków. Jedyną ich aureolą korona z ciernia, którego kolce wpiły się w zroszone krwawym potem czoło.

J. F. Gajsler.

LITERATURA POLSKA.

Artur Gruszecki, *Tuzy*, powieść.

Gruszecki dotychczas na kartach piśmiennictwa naszego zaznaczył się jako publicysta. Obecnie po raz pierwszy wystąpił z utworem artystycznym większych rozmiarów. „Tuzy“ nie wyróżniają się niczem szczególnem; nie można nazwać tej powieści współczesną historyą duszy ludzkiej, chociaż zawiera ona sporo wiarogodnej obserwacyi. Autor dojrzał kilka ciekawych zagadnień społecznych i postanowił je zużytkować. Posiada on pewną świeżość i rzutkość postrzegawczą, słabą jednak wrażliwość artystyczną. Jego rysunek powieściowy odznacza się liniami grubemi, dosadnemi, a kolorytem dosyć bladym. Nie ma uczuciowości poetyckiej, maluje z pośpiechem potocznego obserwatora, bez upiększeń, dopełnień, idealizowania. W jego powieści przeważają tony ostre, nie stąpamy w niej kwiecistemi i wonnemi ścieżkami fantazyi, lecz zwykłym bitym gościńcem. Akcya rozgrywa się śród sfery szlacheckiej. Właściwą widownią jest dwór Edwarda Wireckiego. Wypadki głównie się skupiają koło członków jego rodziny. Intrygi, jakiejś bajki powieściowej zgoła nie ma. Ot, wprost toczy się potok wydarzeń, w rozmaitem tempie, jak zwykle w życiu. Poznajemy szlachtę miejscową, zebraną na polowaniu u Wireckiego, słuchamy jej rozmów i gawęd, roztacza się przed nami obraz kłopotów i zabiegów gospodarskich, widzimy próbę podjęcia walki plantatorów buraczanych przeciwko gnębiącej ich cukrowni, następnie bliżej stykamy się z życiem duchowem kilku osób, mianowicie Felci, żony W., Stasi, jej siostry, Garlińskiego, młodego obywatela, korzystnie wyróżniającego się swoją wiedzą i charakterem.

P. Gruszecki chciał zobrazować stosunki miejscowe, wykazać, czem jest w obecnym momencie nasz stan szlachecki, jesz-

cze i teraz roszczący sobie pretensyo do stanowiska „klasy przodującej“ W „Tuzach“ widzimy próbę takiej charakterystyki.

W obrazie p. Gruszeckiego widzimy dusze kramikarskie, płaskich groszorobów, umysły miałkie, charaktery nadwątlone rozkładem, albo też pospolitych flirtowców, trywialnych wyznawców hasła: „żyj i kochaj życie,“ sybarytów nizkiego gatunku. Wszyscy oni zamknięci w ciasnym widnokręgu duchowym, bez wiary, przekonań, bez szerszych popędów uczuciowych. Atmosfera zgnilizny i skarlenia swobodnie buja śród tej kasty. Muzyką ich duszy jest pragnienie życia, pojętego z najpospolitszej strony. Wszyscy piją z czary sobkostwa, ciasnego egoizmu, wszyscy są krótkowidzami duchowymi, partaczami życia. Obraz ten poniekąd nęka czytelnika, powieść wywiera wrażenie jakby jednotonowej piszczałki. Dobrze, iż autor nie siedzi majestatycznie na sędziowskiem krześle moralności, ale nadto jest publicystą lub kronikarzem, za mało artystą, z upodobaniem rozwijającym barwną wstęgę wypadków i typów.

Najbardziej znamienną postacią współczesnej warstwy ziemiańskiej jest u niego p. Wirecki. Zawczasu hołdował rojeniom zdobycia znacznej fortuny. Ojciec jego prawie całkiem stracił duży majątek, synowi szczęście sprzyjało, ożenił się z posażną panienką, sierotą. Został zawołanym gospodarzem, gorliwie, z ciasną namiętnością pracującym dla rozmnożenia rubli. Moralnemi granicami jego postępowania były paragrafy kodeksu i nakazy przyzwoitości etycznej. Bardzo dbał o opinię poważnego obywatela i wzorowego męża, był jednak pokątnym kobieciarzem, rycerzem wyzysku i zysku nie bardzo czystego. Wszystkie pragnienia i popędy wyrażał z brutalnością zakochanego w sobie zarozumialca. Pospolity skąpiec moralny, zazdrośnie gromadził okruchy, zgoła nie pojmując życia wyższego.

Ideałem Wireckiego i całej jego sfery był Brońkowski, bardzo zamożny właściciel ziemski, współposiadacz cukrowni, fabryk, prawdziwy geniusz finansowy, niepospolity gracz na polu spekulacyi. Zniżył kurs akcyj pewnej cukrowni, a potem zakupił je sam; pozwolił zbankrutować fabryce narzędzi rolniczych, a potem ją nabył, za pośrednictwem żydów skupywał weksle obywatela, którego chciał zmusić do wydzierżawienia majątku. „To geniusz, nie człowiek“ — radośnie huczała „opinia.“ Wirecki był przedmiotem szacunku całego sąsiedztwa, w domu zaś własnym otaczał go wyłączny kult. Przodowała pod tym względem jego rodzona ciotka. Cała jej kobieca natura, potrzeba niezadowolonego macierzyństwa, pustka niezapełnionego życia, energiczny i żądny zaszczytów temperament — złożyły się na tę miłość. Kochała tem silniej i bezwzględniej, im bliższym ideału był jej bratanek, im bardziej odczuwała i widziała w nim urzeczywistnione swe nauki, zasady, marzenia, niegdyś wpajane w chłopca, oddanego zupełnie jej wpływom. Wtórowała jej w tem niewolniczo żona Edwarda, zostająca pod absolutnym wpływem męża, zmuszająca się do zajęć pracy drobiazgowej. Codzienna, pospolita pogoń za majątkiem była dla niej przykrą, osłoniła więc ją teoretycznie poświęceniem dla rodziny i bliższych osób. Gdyby nie ta ślepa uległość i bałwochwalstwo dla męża, byłaby Felcia tak zwaną dobrą kobietą, ale ów fetyszyzm zrobił ją głuchą, ślepą i niemą. Stanowczy charakter p. Wireckiego, jego silna wola i dokładna znajomość żony ułatwiły mu wciągnięcie jej w koło swych interesów, planów i marzeń pieniężnych; zrobił z niej powolne sobie narzędzie. Z tego zaczarowanego koła nie mogła i nie chciała się wydobyć. Dobrze jej było z tą mieszczańską wygodą, z rosnącym majątkiem, z tanio nabytym szacunkiem, z lenistwem myśli i pragnień, z apatyą woli. Stworzona do haremu, nie miała męża, lecz władcę i pana. Postać siostry jej, Stasi, w rękach rzetelnego artysty, mogła by się stać dosyć ciekawym typem. P. Gruszecki nie potrafił wyzyskać materyału. Umysł posiadała żywy, wrażliwy temperament uczuciowy bez egzaltacyi, charakter dosyć stanowczy. Czuć w niej było młodość, rwanie się do życia, powagę kobiety i wesołość dziecka. Oprócz samowiedzy, że jest majętną, dobrze wychowaną panną, posiadała także zadatki poczucia sprawiedliwości, prawdy, uznania dla nauki. Lekceważyła panny, pochłonięte przez bale i zabawy, uważała siebie za lepszą, rozumniejszą. Pragnęła poważniejszej pracy społecznej. Miała rozwinięte poczucie swej odrębności, swej kobiecości: „My chcemy żyć — mówiła — naszem życiem, chcemy być sobą!“ Nic pragnęła, nic chciała, nic rozumiała miłości. Ta miłość, o której wiedziała, na którą patrzyła, była tak nudną, jednostajną, trywialną. Słowem nie posiadała upodobań „bête du plaisir.“ Ale brakło jej wysoce rozwiniętej indywidualności.

Zbieg zdarzeń tak zrządził, iż poznała bliżej Garlińskiego i pokochała go. Ten ostatni był umysłem wrażliwym, skłonnym do uniesień, lubującym się w szerokich uogólnieniach, w tęczowych nadziejach. Zmuszony do mieszkania na wsi, tęsknił do miasta, do podróży. Kwestya dorobku materyalnego nie wiele go obchodziła, daleko większe znaczenie miała dlań sprawa oficyalistów, parobków, wynagrodzenia robotników. Nie posiadał jednak silnej woli. Miłość atoli do Stasi natchnęła go siłą i energią uczuciową.

W powieści zasługuje na wyróżnienie ładny rozdział, opisujący cukrownię.

„Tuzy“ wogóle wywierają wrażenie luźnej wiązki szkiców.

Bron. Chrz....ski

TEATR.

Michał Bałucki, *Bajki*, komedya w 4-ch aktach.

Młody bankier, Feliks Morwa (p. Nowicki), zasięga rady kuzyna żony swej, Ludwika, w kwestyi daru imieninowego, jakim zamierza obdarzyć ukochaną Julję, „koliberka,“ który nadstawia mu do pieszczot uroczy dziobek swój, ilekroć zmęczony, wyczerpany pracą wraca z kantoru do domu. Ludwik (p. Leszczyński), ociężały sensat, niezastanawiający się dotąd nad gustami swej kuzynki, odsyła Morwę do niejakiej p. Grubalskiej, twierdząc, iż zacna ta dama najlepszych udzieli mu wskazówek. Julia wchodzi w chwili, gdy Morwa z Ludwikiem rozbierają sprawę owego daru i słyszy, jak mąż jej szepcze półgłosem do Ludwika: „Tylko mi się z tem przed nią nie wygadaj!“ poczem dla załatwienia interesów w mieście wybiega z domu.

Julia (p. Czaki), zaciekawiona pierwszą tajemnicą, jaką Feliks miał przed nią, bada Ludwika: ten ostatni wpada na genialny pomysł oznajmienia kuzynce, iż sekretem, zaleconym mu przez Morwę, ma być grożące temu bankructwo. Zrozpaczona Julia zamierza sprzedać willę oraz wszystkie kosztowności, otrzymane od męża w czasie krótkiego z nim pożycia, gdy wtem zjawia się przyjaciółka jej, Wścibińska (p. Horwatówna), pierwsza bajczarka w mieście — tak ją przynajmniej anonsuje z góry Ludwik.

Wścibińska w poufnej gawędce z Julią zaznacza wyraźnie, że mąż jej ma romans z Grubalską, młodą żoną niemłodego już człowieka, którą owa Wścibińska widziała na własne oczy rok tomu włóczącą się przez dwie godziny na cmentarzu z ładnym blondynkiem, oficerem. Julia, zachwiana w wierze swej w uczciwość męża, zwierza się przyjaciółce z grożącego im bankructwa, poczem wychodzi na chwilę; na scenie tymczasem pojawiają się pp. Klonowscy (Frenkiel i Borkowska), dobrzy znajomi Morwów, którym Wścib. przez krótką chwilę zdążyła oznajmić o domniemanem bankructwie pana domu. Klonowski złożył u Morwy cały swój kapitał, wynoszący 100,000 r. gotówką, złożył go na 8%, który pobiera sumiennie (zaiste dobrze byłoby wiedzieć o tak hojnych względem wierzycieli swoich bankierach). Zelektryzowany smutną wiadomością, postanawia wycofać sumę. Małżonkowie zwierzają się Wścibińskiej ze wszystkich spraw rodzinnych: mają córkę Tecię, którą wydają za mąż wkrótce za p. Karola Pędzińskiego. Usłyszawszy to nazwisko, Wścib. wydaje krzyk zgrozy i oburzenia. Okazuje się, że zna dobrze Karola, który przez pewien czas mieszkał nawet u niej wraz z siostrzeńcem i wychowankiem jej, Pafciem. Karol prowadził się strasznie: miał romans z jakąś nauczycielką, od której odbierał stale listy miłosne. Na dowód Wścib. odczytuje jeden z owych cennych dokumentów. Klonowska załamuje ręce z rozpaczy, Klonowski wpada w pasyę i zabrania córce nawet myśleć o dawnym narzeczonym. Wścib., zadomowiwszy się u nowych swych znajomych, wprowadza do nich swego Pafcia, który ma odbić Karolowi narzeczoną. Intryga zawiązana; następują powikłania.

Wieść o bankructwie M. rozchodzi się lotem błyskawicy, wierzyciele oblegają tłumnie kantor jego, żądając wypłaty kapitałów swoich. Klonowski wymawia mu sumę. Julia, koliberek, który dotąd posiadał władzę spędzania trosk z czoła męża, odwraca się od niego cierpko, wymawiając mu, że przez życie nad stan i niepotrzebne wydatki wpadł w ruinę. Nb. Wścibińska pod wielkim sekretem zdołała zapewnić ją, iż Morwa w tym czasie obdarzył p. Grubalską garniturem szmaragdów wartości kilkudziesięciu tysięcy guldenów. Zrozpaczony Morwa, nigdzie nie znajdując ratunku, wierzy jeszcze w pomoc przyjaciela swego, Grubalskiego, lecz w chwili, gdy ma udać się do niego, ten ostatni (Rapacki) wchodzi z groźnem obliczem, oznajmiając na wstępie, że ma interes do żony, nie zaś do męża. Morwa żąda wyjaśnień: Grubalski mówi, że zagnała go w te progi żądza wykrycia prawdy. Od pewnego czasu zaczęto błotem obrzucać żonę jego, której dotąd wierzył święcie, odmówiono mu nawet ojcowstwa; twierdzono, że dziecię, którem los obdarzył go niedawno, nie było jego własnem dziecięciem; zatruto mu szczęście i spokój domowy; nie może bez walki poddać się bajkom i oszczerstwom: postanowił dojść do źródła złych języków i oto — od kilku dni chodzi od p. Iksińskiej do Fruwalskiej itd., aż w końcu przysłano go tutaj, mówiąc: „Słyszałam to od Morwowej.“

Następuje zacięta szermierka między mężem oskarżającej i oskarżonej. Morwa, nie chcąc dopuścić żony do upokarzających objaśnień i tłomaczeń, wyzywa Grub. na pojedynek: panowie ci spotykają się w ogrodzie, nieustronnym jednak, jak to bywa zwykle w podobnych razach, lecz wychodzącym akurat na tył domu i altanę Klonowskich. Julia, którą pseudo-rezoner komedyi, Ludwik, uprzedza o mającym odbyć się pojedynku, wpada na pole walki niespodziewanie, rzuca się do nóg Grub., błaga go o litość nad mężem jej, wyznaje, że wszystkie plotki słyszała od Wścib. Następuje porozumienie między przeciwnikami, intryga jednak nie rozplątana jeszcze w zupełności: pozostaje sprawa Karola i Pafcia. Ten ostatni zjawia się niespodziewanie na umówioną schadzkę z Tyldzią, byłą guwernantką Teci, a obec-

nym gościem Klonowskich. Wścib. spostrzega ją i jego wchodzących do altany; w przekonaniu, że Pafciem był Karol, zamyka na klucz młodą parę, zwołuje świadków, każe przynieść światła, jak najwięcej światła, aby w jego blasku odkryć hańbę uwodziciela, grającego w podwójną partyę miłosną: cały personel komedyi zgromadza się przed drzwiami altany, jak przystało na przyzwoite zakończenie sztuki. Wścib., spostrzegłszy w gronie obecnych Karola, z pewnem wahaniem otwiera altanę i oto — kogo w niej widzi? Naturalnie, Pafcia (p. Wolskiego) i Tyldzię (p. Bogusławską).

Następują końcowe a pocieszne wyjaśnienia: Pafcio dla oszukania ciotki kazał Tyldzi adresować wszystkie listy miłosne do Karola, nie zaś do siebie; oficerem, towarzyszącym p. Grub. w wycieczkach za miastem, był rodzony brat jej. bawiący u niej przez wakacye. Szmaragdy, nabyte przez Morwę niby dla p. Grub., zostają wręczone uroczyście Julii w dzień jej imienin; domniemalne bankructwo młodego przedsiębiorcy zdawałoby się najtrudniejszem do odrobienia, ale i tu poszło, jak z płatka. Grub. czyta telegram, czyniący Morwę milionerem. Klon. zostawia mu nadal sumę swoją. Tecia (p. Trapszo), rzuca się w objęcia Karola (p. Rolanda); Grub. zwraca honor nieobecnej swej żonie; wszyscy cieszą się, prócz skompromitowanej trójki: Wścib., Pafcia i Tyldzi. Zasłona spada, słuchacz wychodzi ani zbudowany wątkiem sztuki, ani zabawiony humorem, werwą i dowcipem, tryskającemi tak obficie w innych komedyach Bałuckiego, a których tutaj niestety brak zupełny.

Akcya nie wlecze się wprawdzie leniwie, na scenie bowiem dosyć jest ruchu, ciągłe djalogi i ciągła zmiana osób; intryga jednak związana tak niezręcznie, powikłania, wynikające z niej, tak banalne, matnia. w którą wpadają bohaterowie, zamiast pajęczych, niedostrzegalnych dla intuicyi widzów niteczek, utkana z tak ciężkich, grubych, dyszlowych powrozów, że dostrzega je na samym wstępie najzapamiętalszy krótkowidz. Kilka scen aktu pierwszego starczy, by przeciętny słuchacz dopełnił wyobraźnią całość sztuki. Wie się z góry, że Morwa, Grubalscy i Karol wybrną z *Bajek* szczęśliwie, a nie trudno domyśleć się, w jaki sposób. Nigdzie cienia niespodzianki. Nastrój sztuki każe przypuszczać, że autorowi chodziło o wykazanie w sposób poważny, jak zgubne skutki pociąga za sobą zarówno niewinna, ot, tak sobie, przez leniwego kuzynka dla zaspokojenia ciekawości młodej kuzyneczki puszczona plotka, jak i plotka z celem oszczerstwa, czepiająca się, nakształt pijawki, opinii cnotliwych ludzi. Teza to banalna i nietrudna dla dowiedzenia: każdy wie, że złe słowo, z celem przeciw komuś wymierzone, to jak kamyk, rzucony w wodę, a zakreślający coraz szersze kółeczka, kółka i koła, które namącą dużo spokojnej, kryształowej toni, zanim dobiegną ostatnich swych kresów. Opinia częstokroć z brutalną niesprawiedliwością miażdży niewinne swe ofiary, nie było jednak chyba wypadku, aby lekkomyślne, na wiatr rzucone słowo mogło przyprawić o bankructwo znaną, na twardym gruncie operacyj finansowych opartą firmę. Domniemalna ruina Morwy, jako wynik czczej paplaniny dwu kobiet i jednego ospałego kuzynka, to doskonały wątek dla żywych, ruchliwych fars francuskich, nieliczących się z wymaganiami prawdopodobieństwa, niedbających o rzeczywistość, żądnych tylko ruchu i akcyi, nagromadzenia całego szeregu powikłań, które rozsnuwają się przed oczami widza, nakształt sennych majaczeń, bez logicznego umotywowania faktów, bez kolejnego następstwa ich po sobie.

Niechby był Bałucki zrobił z *Bajek* farsę francuską, zaprawioną swojskim humorem i dowcipem, tendencya sztuki nie straciłaby na tem ani trochę, publiczność zaś zyskałaby kilka godzin zabawy. Po wesołym *Flircie* muza komedyopisarza uderzyła o ton odmienny, niestety, ze szkodą dla samej siebie, dla artystów i życzliwych mu zawsze słuchaczów.

P. Horwąt w głównej roli bajczarki Wścib., nietylko nie zatarła finezyą, sprytem, szczęśliwymi i oryginalnymi pomysłami grubej roboty autora, lecz, przeciwnie, podkreśliła jeszcze każdą kropkę nad i, nadając sztuce tem bardziej charakter niesympatyczny.

Skończoną, jak zawsze, typową, obmyślaną do najdrobniejszego szczegółu postać stworzył p. Rapacki. Snop słońca bije z twarzy jego, gdy w ślicznem, poetycznem a nadzwyczajnie prawdziwem opowiadaniu artysta daje poznać rozkosze ojcowstwa; słuchacz uczuwa z nim wespół rzewną tkliwość i radosne bicie serce kochającego; groza strindbergowskiego zwątpienia opanowywa go natomiast, gdy widzi, jak ciężką walkę w umyśle szczęśliwego dotąd ojca rozbudziły złe ludzkie języki. P. Frenkiel, jak zawsze, nie gra, lecz żyje życiem rzeczywistem na scenie: to nasz Coquelin prawdziwy! P. Borkowska bardzo naturalnie oddała rozpacz kobiety, którą przypierają do muru dla wydobycia z niej źródła plotki. Reszta artystów robiła, co mogła, dla podtrzymania sztuki.

C. W.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Nowe powieści. Z początkiem roku niektóre pisma dały powieści oryginalne: *Kuryer warsz.* Jana Zacharyasiewicza „Przy końcu wieku,“ *Gazeta polska* W. Kosiakiewicza „Bawełnę,“ *Wiek* M. Gawalewicza „Od jutra,“ *Słowo* Klemensa Junoszy „Czarne błoto,“ *Tygodnik mód* T. T. Jeża „Samą,“ *Biesiada literacka* opowiadanie J. I. Kraszewskiego p. t. „Świetna partya,“ *Gazeta radomska* obrazek M. Bałuckiego p. t. „Noc Bożego Narodzenia.“

— Pisma prowincyonalne: *Gazeta radomska*, *Gazeta lubelska* i *Tydzień piotrkowski*, wydały numery gwiazdkowe i noworoczne, dość obfite w treść i nazwiska znanych autorów.

— Ostatni zeszyt *Journal des Economistes* umieścił artykuł Władysława Domańskiego p. t. *A propos de la conference douanière russo-allemande.*

— Aleksander Kröger opracował i wydał w języku niemieckim czterotomowy przewodnik, dotyczący prowincyi nadbałtyckich, p. t.: *Verkehrs und Adressbuch der baltischen Provinzen.* Oprócz adresów władz miejscowych, instytucyi prywatnych, zakładów handlowych i przemysłowych itd., podręcznik zawiera dane geograficzne, statystyczne, archeologiczne, etnograficzne i inne.

— Wiedeńska *Deutsche Zeitung* drukuje powieść historyczną Kraszewskiego p. t. „Hrabia Brühl.“

— Wystawa doroczna szkiców i przedmiotów sztuki stosowanej w Salonie artystycznym, otrzymała w ostatnich dniach wiele nowych prac. W salonie tym ukaże się wkrótce kilkanaście wielkich kartonów, oryginalne rysunki Matejki.

— Dla kobiet pragnących doskonalić się w malowaniu na drzewie, tkaninach i wyrobach ceramicznych, Muzeum rzemieślnicze otwiera salę oddzielną.

— Od marca zacznie wychodzić w Warszawie ruskie pismo tygodniowe p. t. *Pośrednik handlowo-przemysłowy.* Zadaniem jego ma być zawiązywanie stosunków przemysłowców tutejszych z Rosyą wewnętrzną.

— W Kijowie zaczęło wychodzić nowe pismo codzienne p. t. *Żiźń i iskustwo* (*Życie i sztuka*), poświęcone literaturze, polityce i sztukom pięknym.

— *Niwa* petersburska pisząc o Matejce, podała następujące szczegóły: obraz „Wezwanie Władysława *Mądrego*“ (!) i „Klęska *niemców* pod Warną“ (!!). Dla współpracowników tego pisma przydałby się chociaż pobieżny kurs szkolny historyi.

— Na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół literatury ruskiej w Moskwie powieściopisarz i krytyk Boborykin mówił o *Panu Tadeuszu* Mickiewicza i *Eugeniuszu Oneginie* Puszkina. Po wykładzie krytyczno-porównawczym inny uczestnik, p. Sadowski, odczytał wyjątki z *Pana Tadeusza* w przekładzie Berga (opis puszczy litewskiej i koncertu Jankla).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Budżet. — Dwa świeże projekty. — Kursa rolnicze.— Gospodarka leśna. — Obniżka podatków.

Budżet miasta naszego za rok ubiegły rzuca się przedewszystkiem w oczy jedną obcą nam dotychczas cechą. Ku wielkiemu zdumieniu dowiadujemy się, że i tu, jak w przysłowiowej „Gazecie lwowskiej“ *wszystko jest w porządku.* Podobnież i na rok 1894 budżet określa dochody zwyczajne na 394,652 złr., nadzwyczajne na 14,200 złr., podatki na 520,329 złr. co stanowi ogółem 929,181 złr. I o dziwo! — wydatki zwyczajne wynosić będą 874,077 złr., nadzwyczajne 50,587 złr. — *nieprzewidziane* zaś 4,517 złr. Suma owych cyfr składa się więc na cudowną liczbę 929,181 złr., która serce każdego z lojalnych obywateli naszej Abdery przejąć powinna należną wdzięcznością dla zacnych cudotwórców. Niestety jednak łatwiej tu jeszcze niż przy seansach spirytystycznych wykryć cudu tego tajemnicę. Żądaną przez liczne sekcye na różne naglące potrzeby kwotę 45,000 złr., poprostu wykreślono, wydatki zaś nieprzewidziane obliczono na skromniutką sumę 4,517 złr. Bodajto skromność, oszczędność — i głuchota! Gdyby bowiem panowie, o sprawach gospodarskich decydujący, trochę tylko wrażliwszy mieli organ słuchu, wiedzieliby już oddawna, że ze wszystkich dziur, kątów i zaułków podnoszą się rozpaczliwe głosy, wołające — kropelki, kropelki choć dżdżu! Płacąc ciężkie, gorzkie daniny publiczne, mamy chyba prawo domagać się za to zaspokojenia pierwszych bodaj potrzeb, a więc czystej, do użytku możliwej wody, czystego, wyziewami niezatrutego powietrza i czystych chodników. Ale poco? Krzykacze niech się trują, niech nogi łamią. byleby na linie, dla popisów kuglarskich przeznaczonej, równowaga naruszoną nie została! Budżet Krakowa mógłby być chwalebnem świadectwem dla oszczędnych gospodyń wiejskich lub miejskich, jest jednak sromotą dla członków zarządu publicznego, niechcących wiedzieć, że w gospodarstwie publicznem dochody muszą się stosować do wydatków, nie zaś odwrotnie.

Z projektów, których nam nigdy nie brak, a które z początku roku bywają najliczniejsze, dwa wymagałyby uwzględnienia najszybszego. Na podstawie uchwały ankiety, która badała zakłady dla obłąkanych: krakowski i kulparkowski. Wydział krajowy przedstawił namiestnictwu potrzebę zaprowadzenia przy uniwersytecie krakowskim, a później i lwowskim, kliniki psychiatrycznej i zaliczenia psychiatryi do przedmiotów, na wydziale medycznym obowiązujących. Ministerstwo oświaty zgadza się w zasadzie na stworzenie nadzwyczajnej katedry psychiatryi i nerwo-patologii w Krakowie, kwestya zaś obowiązkowości wymienionych przedmiotów rozstrzygniętą będzie przy reformie studyów medycznych, nad którą obecnie już pracują. Dla Lwowa decyzya zapadnie przy stanowczem otworzeniu wydziału lekarskiego. Poszłoby tedy wszystko bardzo gładko, gdyby nie brzydki punkt— kosztów. Rząd pragnąłby ustąpić zaszczyt poniesienia ich Wydziałowi, Wydział na-

tomiast z grzeczności honoru tego się zrzeka. Kto wie, czy na elegancyi tej sam projekt nie ucierpi. Wogóle elegancya i wysoce rozwinięty zmysł polityczny — to dwa najwybitniejsze znamiona opatrzności naszej. Dowodzi tego i sprawa budowy gmachów dla nowego (3-go) gimnazyum i wyższej szkoły realnej w Krakowie — projekt, *na seryo* obecnie podnіnsiony, a raczej zbudzony z dość długiej drzemki przez hejnał noworoczny. Sprawa ta ma już historyę, którą dla lepszej charakterystyki wyżej wspomnianych cnót galicyjskich przypominamy. Dawno już, bo jeszcze w roku 1890-ym, miejska kasa oszczędności oświadczyła rządowi gotowość wybudowania wymienionych gmachów. Rząd odpowiedział, że z własnych funduszów budowle postawić zamierza, wzamian zaś żąda od gminy drobnego stosunkowo przyczynku. W lutym 1891-go r. gmina krakowska zaofiarowała na cel ten 45,000 złr. z rozmaitemi jednak zastrzeżeniami i pod warunkiem, że rząd jednocześnie wzniesie gmach dla szkoły przemysłowej; na wypadek nieprzyjęcia warunków, wziąć chciała na siebie koszta budowy, proponując rządowi odnajmywanie na przeciąg lat 20-tu za sumę 14,400 złr. rocznie. Rząd propozycyę tę przyjął, mimo że gmina żądany początkowo czynsz znacznie podwyższyła, z czego wywnioskować łatwo, iż pierwszą uchwałę powzięto bez należytych informacyj. Na nieszczęście okazuje się, że i to drugie obliczenie jest nieścisłe, co jest tem smutniejsze, że rząd, raz umowę podpisawszy, na żadne dalsze zmiany przystać nie chce. Projekt dotychczas tedy wisi — a wina najoczywiściej jest po stronie ojców miasta. Więcej trochę zmysłu politycznego: bezwarunkowe zaofiarowanie 45,000 złr., oddzielne popieranie sprawy gmachów dla szkół średnich a oddzielne — budowli dla szkoły przemysłowej i mielibyśmy o jeden projekt mniej, o kilka zaś instytucyj pożytecznych więcej. Plac, na cel ten za 50,000 złr. zakupiony, dochodów nie przynosi żadnych, z pożyczki zaciągniętej już, a spoczywającej w kasie, opłaca się odsetki — a projekt jest tem, czem był — projektem...

Z większą szybkością i sumiennością urzeczywistnia plany swoje Rada szkolna. Po zreformowaniu kierunku szkoły ludowej, zaopatrzeniu jej w książki, przysposabiające młodzież do przyszłego jej zawodu rolniczego, zamierza ona urządzić dopełniające kursa rolnicze, połączone ze szkołami po wsiach i miastach mniejszych, których gminy dostarczać mają potrzebnego ogrodu i pola oraz osobnej sali. Zadaniem kursów tych będzie obznajmianie uczniów z głównemi zasadami gospodarstwa wiejskiego i z naukami pomocniczemi, a więc z wstępnemi wiadomościami z nauk przyrodniczych (kurs 1-szy), z rolnictwem i hodowlą (kurs 2-gi i 3-ci), z urządzaniem stowarzyszeń rolniczych i ustawą, gospodarstwa dotyczącą (kurs 3-ci). Do liczby przedmiotów wykładowych wchodzić też będą rachunki, geometrya i stylistyka. Nauka rozłożoną jest tedy na 3 lata. Kurs zimowy obejmie naukę teoretyczną; ćwiczenia i doświadczenia praktyczne trwać będą przez rok cały. Wykłady powierzone zostaną nauczycielowi ludowemu, wykształconemu dodatkowo w niższych szkołach rolniczych; po uzyskaniu potrzebnego zasiłku od sejmu, Rada szkolna wyśle dziesięciu nauczycieli ludowych na rok jeden do niższych zakładów naukowych rolniczych. Kursa rozpocząć się mają z początkiem października 1895 r.

Od sejmu spodziewano się też reformy ustawodawstwa leśnego i odpowiedniego zorganizowania służby leśnej. Obfite źródło dobrobytu zagrożone jest niestety przez długoletnią, rabunkową gospodarkę. Obszary leśne Galicyi stanowią $^1/_5$ część wszystkich w Austryi, posiadają bowiem 2,021,828 hektarów, co stanowi 26% rozległości produktywnej a 25% całej przestrzeni kraju. Nadto w okolicach niedawno otwartej, wschodniej podkarpackiej puszczy leśnej znajdują się jeszcze olbrzymie lasy pierwotne. W kraju, bardzo zresztą ubogim, bogactwa takiego podwójnie by strzedz należało. Tymczasem i tu zaznaczyć można niesłychane niedbalstwo, lekkomyślność i nieumiejętność zachowania owoców pracy dla swoich. Gospodarka leśna prowadzoną jest przeważnie przez wyzyskiwaczów zagranicznych, którzy zamiast siedmiu milionów metrów sześciennych drzewa, co byłoby produkcyą normalną, produkują 12 milionów m. sz., spławiają je wszystkiemi rzekami, wywożą wszystkiemi kolejami, a nadto w kraju samym zużytkowują je w przemyśle, obejmując imponującą liczbę gałęzi. Statystyki leśnej nie mamy — a o nią przedewszystkiem sejm postarać by się winien. W roku 1874 obliczono wartość produkcyi samego surowego drzewa na około 8 milionów. A jednak mimo ciągłych żalów na nędzę i ubóstwo, o szanowaniu tych resztek nikt nie pomyśli. Ktoby uwierzył, że na 22,000 hektarów lasu ochronnego ubywa rocznie 2500 hektarów?

Jako zapowiedź lepszych czasów na polu gospodarstwa krajowego powitać należy zaproponowane sejmowi przez Wydział obniżenie dodatków krajowych do podatków bezpośrednich. Na rok 1894 obniżka ta stanowić będzie 3 centy od każdego dodatku. Do 1 złr. podatku dopłacać się zatem będzie 65 ct. (w Krakowskiem 51 ct.). Mimo to wynik ogólny okaże się korzystniejszym, aniżeli w pierwotnym planie konwersyjnym przypuszczano.

Ferropar.

LIBERUM VETO.

Najliczniejszy rodzaj ludzki. — Powszechna pretensya do postępu. — Jego zdystansowani rzecznicy. — Prośba w ich imieniu o pobłażliwość. — Rozmowa między swoimi o nowych apostołach. — Jerzy Aleksandrowicz. — Pogrzeb zacnego człowieka.

Bez wątpienia, Stańczyk ma słuszność — najwięcej jest na świecie lekarzów; ale jeżeli weźmiemy tylko warstwy oświecone, to najmniej tyleż, jeśli nie więcej, znajdziemy w nich postępowców. Ten bowiem gatunek ludzi obejmuje u nas prawie wszystkich ukształconych. Nic to nie znaczy, że oni przezywają się lub są przezywani: liberałami, konserwatystami, ludowcami, ultramontanami, antisemitami itd., wszyscy ręczą słowem, sumieniem i honorem, że pracują dla „rzeczywistego“ postępu. Kiedyś nosili u nas to miano wyznawcy Comte'a, Darwina i Milla, ale powoli zakwestyonowano im je bardzo zasadnie. Tak np. czciciele tradycyi, wskrzeszający ideały wieków średnich, zaczęli dowodzić: Dlaczego tylko jazda w pociągu kolejowym ma być posuwaniem się naprzód? Przecież kto jedzie na wozie, ciągnionym przez konie, woły, osły, psy, w łodzi, lektyce, taczkach, również zmienia miejsce. Nie dość tego. Te ostatnie rodzaje ruchu są wprawdzie powolniejsze, ale bezpieczniejsze i wygodniejsze. Jadąc w taczce, popychanej przez niewolnika, mogą się zatrzymać wszędzie, nie grozi mi żadne wykolejenie, rozbicie lub druzgoczące spotkanie. Tymczasem na wszystkie te nieprzyjemności jestem narażony w wagonie drogi żelaznej. Ale pominąwszy nawet tę korzyść, jakie prawo mają zwolennicy podróżowania koleją zarzucać amatorom taczek, lektyk i psich wózków nieruchomość, zastój lub cofanie się?

Wynika stąd jasno, że wszyscy jesteśmy postępowcami i że pomiędzy nimi zachodzi tylko różnica w szybkości ruchu i jego środkach. A cele? Są również jednakie, gdyż wszystkim chodzi o uszczęśliwienie ludzkości. Na pozór zdaje się, że między przyjacielem poddaństwa a przyjacielem usamowolnienia włościan istnieje bezwzględna sprzeczność ideałów i dążeń. Otóż — nie, gdyż nawet ci, którzy chcieliby uczynić chłopa niewolnikiem, twierdzą, że on w tem położeniu byłby daleko szczęśliwszym. Bez długiego szukania spotkacie łatwo wielbiciela lektyki, który wam powie:

Dawniej chłop był zależnym od dworu, ale nie potrzebował się troszczyć o swoje istnienie, gdyż miał je zapewnione ze strony pana. W nieszczęściu, w chorobie zwracał się do dworu i otrzymywał od niego pomoc. A do kogo dziś się zwróci? Kto go wyratuje z niedoli? Również krzywdę wyrządza mu oświata: wytwarza bowiem i mnoży jego potrzeby, nie zaspokajając ich. Dopóki był głupi, był szczęśliwy, bo ciemnota nie uczyła go chcieć tego, czego osiągnąć nie może.

I tak dalej.

Wszyscy tedy jesteśmy postępowcami, tylko że jedni głoszą postęp nieokreślony, inni — „zdrowy,“ inni — „prawdziwy,“ inni — „prawidłowy,“ inni — „umiarkowany,“ inni — „swojski“ itp. A tak każde stronnictwo drogo ceni swój monopol postępowości, że go pozostałym nie chce przyznać w najdrobniejszej części. Wszakże słyszeliśmy, jak konserwatyści zarzucali warszawskim postępowcom, że cofają ludzkość do stanu zwierzęcego, czyli że są największymi wstecznikami.

I nasze społeczeństwo czas przeoruje w coraz inne skiby i zagony, i nas również obsiewa coraz nowemi ziarnami ziela i chwastów, więc też wytwarza świeże rodzaje postępowców. Od epoki, w której tem imieniem ochrzcili się pozytywiści warszawscy, ileż na naszym gruncie wyrosło najrozmaitszych *izmów*, które objawiły swe wyłączne prawo do postępowości! Odkrywcy i wielbiciele duszy i cywilizacyi chłopskiej, nowokonserwatyści, antisemici, naturaliści w sztuce, impresyoniści, spirytyści itd. Wszyscy oni kolejno zawstydzali dawnych liberałów, oskarżając ich o zacofanie i niezdolność zrozumienia nowych prądów. Teraz najdalej wysunięty postęp idzie w przyszłość pod sztandarem ze spódnicy Eusapii. Ta wspaniała chorągiew wiedzie nas do boju za „nowe prawdy,“ w nią wpatrzeni burzymy stary i zmurszały gmach wiedzy i na jego miejscu mamy zbudować świątynię lepszej wiary. I będzie powiedziano kiedyś w jej ewangielii: Chadzał ród człowieczy w ciemnościach i błędzie. Aż oto w skromną żonę maszynisty neapolitańskiego wstąpił duch, który zaczął jej wydymać spódnicę, podnosić stoły, szturgać obecnych w plecy i w nos, wysuwać z pod nich krzesła i czynić inne cuda, godne jego nadziemskiego pochodzenia. Znaleźli się zatwardziali w niewiadomości, którzy krzyknęli: kuglarką jest. Inni zaś zaślepieni, którzy nie oglądali owych cudów, wołali: ukrzyżujmy jej apostołów. I wycierpieli męczennicy prześladowanie, a imiona ich są (tu będą wyliczone wszystkie opoki mediumizmu warszawskiego). Ale światło nowej prawdy rozproszyło ciemności, na pamiątkę zaś tego wielkiego zdarzenia cała ludzkość obchodzi uroczyście dzień urodzin Eusapii oraz rocznicę jej pobytu w Warszawie, gdzie wystawiana jest na widok publiczny prawdziwa jej spódnica, pod którą kryła się moc działająca cuda. (Kilka miast będzie się przechwalać, że posiadają tę szacowną spodnicę, ale żadne nie odbierze tego zaszczytu Warszawie).

Taką opowieść ze czcią powtarzać będą najodleglejsze pokolenia.

Wiem, że jeśli mnie w niej dostanie się jakaś wzmianka, będę w niej wyglądał smutnie. W Eusapię bowiem nie wierzę, w naukę jej apostołów również, chociaż je-

den z nich zapewnia, że widział 400 cudów, a drugi, że 200. Zresztą mniejsza o tę niesławę pośmiertną, gorsza doczesna. Nawet p. Prus, który w swej torebce nosił jak dewotka zaledwie parę modlitewników naukowych i urągał nimi największym bibliotekom, sprawił sobie nowy o mediumizmie; a ja zacofaniec usiadłem przy drodze zmęczony i częstuję przechodniów „kapsułkami materyalistycznemi,“ podczas gdy inni popędzili jak wichry gościńcem „prawdziwego“ postępu. P. Prusa z torebką ledwie już widzę, inni tylko się szarzeją, a p. Ochorowicz błyszczy mi w oczach jako punkt świetlany. I to wszystko sprawiła ta Eusapia!

Trudno zaprzeczyć, że zarówno ja, jak wielu b. pozytywistów, jesteśmy zdystansowani przez to „lwie“ plemię, które nas wyprzedziło w postępie. Ale przecież chyba nie przyjmiemy porażki z pokorą i pozwolimy otworzyć usta tej pokonanej dumie, która nam położyła bielmo na oczy wobec światła „nowych prawd.“ Śród tegoczesnych „postępowców“ widzę ludzi, którzy niedawno uczyli nas szacunku dla starych pantofli za ich długą i wierną służbę naszym nogom. Zdaje mi się, że dotychczasowa wiedza, tak sponiewierana w orgiach mediumizmu i spirytyzmu, warta jest względności dla starych pantofli. Niech więc apostołowie nowej wiary pozostawią pod naszą pogańską opieką tę starą, szacowną ruderę i nie chcą nam jej przerabiać na świątynię dla Eusapii, dla której mogą wznieść okazały cyrk lub amfiteatr do przedstawień. Bo wszakże i my gdzieś musimy umieścić naszych bogów, którzy w żaden sposób nie zgodzą się mieć wspólnych ołtarzów z kuglarzami. Wszystko to, co ludzkość dotychczas zdobyła w ciężkiej pracy naukowej, według rozmaitych *istów*, a zwłaszcza spirytystów, mediumistów, eusapistów, nie posiada żadnej wartości: medycyna jest przetakiem, przywiązanym do żórawia studziennego do naczerpywania wody, która przez niego przelata; fizyka — ciasnem kółeczkiem, w którem kręcą się małe mózgi; fizyologia — wiązanką niedorzecznych domysłów, grubych spostrzeżeń, wydobytych z rozprutych świnek morskich i ogłowionych żab; filozofia — krainą mgieł nieuchwytnych i zaciemniających światło prawdy, którą wreszcie objawiają nam pukające stoły, wydęte spodnice, figlujące duchy itd. Wobec takich „faktów“ i objawień niepodobna wątpić, że ludzkość dotąd błąkała się w mrokach i teraz dopiero zacznie brodzić w jasności. Ale jeżeli zachowano piramidy, przybytki bóstw pogańskich, nawet jaskinie człowieka pierwotnego, jeżeli obok kultury europejskiej pozwolono istnieć wiarom i kultom plemion dzikich, to może i nauka dotychczasowa uzyska od głosicieli „nowej prawdy“ pobłażanie, okazane innym skamieniałościom cywilizacyi? Mam też nadzieję, że my pozytywiści, dymisyonowani postępowcy, wyznawcy ciasnej nauki, właściwie zacofańcy, dokończymy żywota pod łaskawą opieką wyrozumiałej tolerancyi.

A teraz my antispirytyści, antimedyumiści, antieusapiści, antikuglarze pomówmy z sobą. Czy wam, oprócz wielkiego ruchu społecznego zaimponował od ćwierć wieku jakikolwiek *izm*, usiłujący stanąć na czele ludzkości? Mnie — nie. Ponieważ spowiadamy się między sobą, więc wyznam otwarcie, że wszystkie naturalizmy, impresyonizmy, dekadentyzmy, spirytyzmy, medyumizmy wydawały mi się tylko niedołężnymi podrygami bezsilnych lub chorych mózgów. Po tych wielkich teoryach, które rozwinęli Comte i jego znakomici uczniowie, Darwin, Lyell, nowokantyści i moniści — wszystkie inne, jakie się przewinęły przed nami w ostatnich latach długim łańcuchem, nie dokonały epokowego zwrotu w naszych pojęciach i co najwyżej oświetliły je drobnymi promieniami. Nawet hypnotyzm zbogacił tylko naszą wiedzę szeregiem nieznanych faktów, lecz nie odsłonił ich tajemnic. Od owej przełomowej doby ani jedna idea, ani jedna teorya, ani jedno odkrycie nie zapłonęło słupem ognistym przed ludzkością. Obecnie brak genialnych ludzi, brak nowych torów i drogowskazów. To, co nigdy nieustająca w mozole myśl ludzka wypracowywa w ścisłych i sumiennych badaniach, stanowi nabytki cenne; ale to, co z zuchwałą a czasem bezczelną pretensyalnością skacze ludziom do oczu i rozwrzaskuje swój mesyanizm, jest po największej części rojem pseudonaukowych konceptów, blagą, kuglarstwem i spekulacyą. Kto umie zoryentować się w tym jarmarku zręcznych przekupniów i krzykliwych tandeciarzów, zachwalających swój lichy towar, ten się nie wyrzecze dawnych godeł i nie przyczepi swej myśli do takiego „postępu.“ Stańmy więc tylko na uboczu tego targowiska i przypatrujmy się z uśmiechem jego wrzawie.

Uśmiech ten przemijał się często po ustach człowieka, którego przed paru dniami złożyliśmy do grobu. Nie przypuszczaliśmy, że on w nim spocznie tak prędko. Mówiąc o zeszłorocznym jego jubileuszu, określiliśmy w ogólnych rysach zasługi Jerzego Aleksandrowicza, który był jednym z najbardziej znanych i najbardziej lubianych ludzi w naszym kraju. Gdybyśmy tylko zestawili jego role publiczne: był nauczycielem szkoły realnej, profesorem Akademii medyko-chirurgicznej, profesorem b. Szkoły Głównej i uniwersytetu, dyrektorem ogrodu Botanicznego, dyrektorem ogrodu Pomologicznego, prezesem Towarzystwa ogrodniczego, dyrektorem Muzeum przemysłowego, prezesem komitetu właścicieli listów zastawnych w Tow. kred. ziems. — itd., nie licząc uczestnictwa w najrozmaitszych instytucyach, stowarzyszeniach i przedsięwzięciach, to nawet nie znając jego bijografii, odgadlibyśmy łatwo, że nie był to gabinetowy uczony, ale raczej działacz społeczny.

Rzeczywiście pozostały po nim w literaturze tylko broszury i artykuły, ale w życiu społecznem pozostała masa dążeń i czynów wielkiej wartości. Można w zasadzie nie być zwolennikiem powierzania wielu stanowisk jednej osobie, ale w praktyce okazuje się to nieraz najkorzystniejszem. Jeżeli zaś zważymy, że Aleksandrowicz nie był karyerowiczem i piastował liczne urzędy honorowo, to przyznamy, że w tym człowieku musiała tkwić jakaś szczególna zdolność, zacność, powaga i energia, skoro go na nie wybierano. Rzeczywiście był on prawym, rozumnym, wyjątkowo dobrym i jak gdyby stworzonym do zjednywania sobie serc ludzkich. To też kilkotysięczny orszak, który go odprowadził do grobu, nie zebrał się dla przyzwoitości i względów towarzyskich, lecz pociągnięty szczerem uczuciem żalu i szacunku. W tym tłumie znalazło się z pewnością bardzo wielu, którzy mu czegoś nie zawdzięczali. Przez jego wielkie serce przesunęły się tysiące ludzi, a każdy ogrzał się bodaj przez chwilę jego przyjacielskiem ciepłem. Był godny czci, więc mu ją okazano.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Spółki rolne. Niedawno *Rolnik i Hodowca* ogłosił odezwę, podpisaną przez dwóch ziemian, pp. St. Skarbka i Piotra Rapackiego, którzy za pośrednictwem prasy chcą zebrać potrzebne dane, stanowiące podkład do działań w zakresie przedsiębiorstw spółkowych. O ile wnosić możemy, podpisani są inicyatorami budowy fabryk: cukru, nawozów sztucznych, gorzelni itd. przy stacyach kolei Nadwiślańskiej: Mława, Konopki i Nasielsk. Chcą się tedy rozpatrzyć w warunkach okolicy i innych do udziału w przedsiębiorstwach zbiorowych zachęcić. Przedewszystkiem najważniejszą podstawą przyszłych fabryk powinna być dogodna komunikacya; np. w Konopkach potrzeba aż czterech szos. Otóż interesowani starają się zbadać, w jakim kierunku i przez jakie wsie należy te drogi prowadzić, wreszcie chcą znaleźć przedsiębiorców do budowy tych dróg. Co do warunków uczestnictwa w zakładach fabrycznych, mają one być bardzo przystępne nawet dla ochotników niezamożnych; udziały bowiem wynoszą po 100 rs., które można wnieść nietylko gotówką, ale robocizną konną, burakami, kartoflami, kamieniami i wszelkiego rodzaju materyałem potrzebnym. „Gdyby plantatorowie należeli do spółkowych fabryk cukru— powiadają inicyatorowie — to by w ostatnich latach mieli około 160 kop. za korzec buraków, a teraz mają zaledwie około rubla, minus znaczne rozchody na furmanki.“ Autorowie odezwy dla bliższych objaśnień podają swój adres (Boguszyn przez Mławę).

Fakt powyższy świadczy o pewnym ruchu pomyślnym śród ziemian; do czynu zaś powinny zachęcić nie tylko warunki przystępne, lecz i przykłady znane w praktyce, chociaż dotąd nieliczne. Między innemi cukrownia ziemiańska, istniejąca w Ciechanowskiem od lat kilku, daje już dziś 25% dochodu akcyonaryuszom. Zbyteczne byłoby się rozwodzić nad tem, jakie korzyści ziemianom mogą przynieść przedsiębiorstwa rozpostarte na podstawach działań zbiorowych; pisaliśmy już o tem nieraz; obecnie przy sposobności parę uwag tylko dorzucamy. Jak wiadomo, bogate źródła dochodu są dziś zupełnie lekceważone; gospodarkę nabiałową prowadzą spekulanci i nieźle na tem wychodzą; sery, wyrabiane przez żydów — pachciarzy słyną w całym kraju; młynarstwo całkowicie zagarnęli aferzyści, a tym czasem podług obliczeń wytrawnego fachowca, p. Małyszczyckiego, dział ten mógłby olbrzymie zyski dawać rolnikom, gdyby się doń bezpośrednio wzięli. Zamiast więc przedsięwziąć zabiegi osobiste, wolą szukać opieki celnej, jak to mieliśmy świeży przykład, zaznaczony w sprawozdaniu delegacyi mleczarskiej.

Zaledwie pojedyncze fakty (podbijanie rynków obcych przez jednostki) świadczą o tem, że u nas istnieją jakie takie zarodki gospodarki nabiałowej, a powodzenie tych oderwanych przedsięwzięć dowodzi, że organizacya zbiorowa mogłaby być dźwignią dla ziemian. Ale do tego potrzebny jest długi szereg wstępnych przygotowań. Za granicą i w Ameryce istnieją fermy mleczarskie, jako wyłączny dział produkcyi, przynoszący wielkie zyski przedsiębiorcom. Działalność ich wszakże oparta jest na wiedzy gruntownej i doświadczeniu. Czy u nas są tego rodzaju specyaliści wytrawni? Sery smaczne w różnych gatunkach przychodzą bądź z za granicy, bądź wytwarzane są w kraju przez obcych specyalistów. Tu i owdzie pachciarz zbadał tajemnicę i nieźle robi nawet imitacye serów szwajcarskich. Rolników zaś, obeznanych z tym przedmiotem, z latarką trzeba szukać.

Lecz oto w ostatnich czasach widzimy już przebłyski, zapowiadające racyonalną gospodarkę nabiałową. W jesieni r. z. urzędownie ogłoszono normalną ustawę szkoły mleczarskiej 2-ej kategoryi w majątku Podhaj gub. kowieńskiej, pow. rosieńskiego. Ze względu, iż władza popiera tego rodzaju zakłady i że program powyższego może posłużyć poniekąd za wzór do utworzenia szeregu innych w Królestwie i guberniach sąsiednich, — warto się zapoznać nieco z zakresem tej szkoły. Kurs dwuletni dzieli się na dwie klasy. Wycho-

wańcy po ukończeniu nauk wysyłani będą kosztem rządowym na praktykę do wzorowych gospodarstw mlecznych. Oprócz uczniów właściwych, mają wstęp praktykanci, przysyłani przez ministeryum dóbr państwa. Obok nauki w zakresie szkół ludowych, wykładane są następujące przedmioty specyalne: hodowla, utrzymanie, karmienie bydła tudzież nierogacizny; pojęcia elementarne a składzie i własnościach mleka oraz sposoby oznaczenia jego przymiotów za pomocą najprostszej metody i wyrób masła; prowadzenie ksiąg hodowli bydła i gospodarstwa mlecznego; wyrób sera itd. Zajęcia praktyczne i teoretyczne trwają przez rok cały. Uczniowie, kończący kurs, składają egzamin wobec delegatów departamentu rolnictwa i otrzymują świadectwa, które zapewniają ulgi wojskowe według 4-ej kategoryi. Po ukończeniu praktyki trzyletniej wychowańcy muszą zdać sprawę ze swych czynności wobec władzy właściwej, poczem mogą otrzymać od departamentu dyplomy na „majstrów mleczarskich.“

Tacy fachowcy niewątpliwie będą bardzo chętnie poszukiwani przez ziemian i za swą pracę produkcyjną otrzymają korzystne wynagrodzenie. Tego rodzaju pracowników uzdolnionych brak u nas zupełny, a straty — ogromne z nieumiejętnego prowadzenia mleczarstwa. Przedewszystkiem więc postarajmy się o takie szkoły 2-ej kategoryi; gdy zaś wydadzą one praktyczne rezultaty — pomyślmy o wyższych. Wtedy na podstawach pracy specyalistów łatwo bez ryzyka można będzie tworzyć spółki nabiałowe. *Drogomir.*

Łódź. Ruch przemysłowo-fabryczny bije tętnem przyspieszonem. Robotnicy, zwykle wolni w trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia, tym razem musieli już stanąć do pracy skutkiem wielkich zamówień terminowych, poczynionych u przedsiębiorców tutejszych. Ta właśnie gorączka, napędzająca znaczne dochody do kieszeni fabrykantów, spowodowała pracę nocną, wprowadzoną od Nowego roku w kilku przędzalniach znaczniejszych. Wzamian za wzmożoną pracę i oparty na niej pomyślny rozwój interesów zarząd Towarzystwa akcyjnego Scheiblerów rozdał podarunki dzieciom robotników. Przyśpieszony puls interesów przemysłowych nie przeszkadza mieszkańcom hulać. Szał karnawałowy dosięga szczytu, a wszelkie jego najdrobniejsze szczegóły skrzętnie notują korespondenci pism codziennych. Ktoby z tego źródła chciał zasięgnąć jakich ważniejszych wiadomości, próżno by czas tracił. Bale, koncerty, przedstawienia amatorskie i na tem tle anegdotki — to jest całkowita treść owych listów, pisywanych snadź przez rozbawionych reporterów łódzkich. Dobry humor przedsiębiorcom i tancerzom z ich łona psują pożary, szerzące się dość często śród zakładów fabrycznych. W Zgierzu spaliła się przędzalnia Zacherta wraz z 40,000 wrzecion. Skutkiem tej klęski około 300 robotników straciło zajęcie. Mają oni podobno otrzymywać zasiłek pieniężny do czasu odbudowania fabryki. Straty właściciela dochodzą do 400,000, ale właściwie są to straty pozorne, gdyż zakład był ubezpieczony w Towarzystwie petersburskiem.

Lublin. Wielkie znaczenie dla miasta ma stacya chemiczno-bakteryologiczna, istniejąca czasowo. Stałe jej utrzymanie kosztem gubernii w zasadzie przyjęto i, zdaje się, nie byłoby najmniejszego powodu uchylania się od obowiązku utrwalenia instytucyi niezmiernie potrzebnej i pożytecznej. Do obowiązku tego muszą się przyłożyć wszystkie miasta całej gubernii tudzież szpitale. Lokal udziela sam Lublin bezpłatnie. — Kasa oszczędności przy magistracie miejscowym skazana jest na zagładę, a raczej na przelanie do takiejże kasy przy oddziale Banku państwa, gdyż fundusze stale się zmniejszają. — Towarzystwo kredytowe m. Lublina skończyło niedawno siódmy finansowy rok istnienia. W roku ostatnim wypłacono tylko 19,000 rs. w ośmiu pożyczkach. Listów zastawnych 6% znajdowało się w obrocie rs. 1,863,550, kapitał zapasowy wzrósł do rs. 68,687 k. 74. Przewyżka nad wydatkami po strąceniu zwiększonego podatku dochodowego — 9,992 rs. 48 k. Dyrekcya uzyskała pozwolenie ministeryum skarbu na wypuszczanie nadal 5% listów zastawnych, zamiast 6%. Zastrzeżono wszakże, iżby nie losowano mniej listów nad ilość wymaganą a więcej—nie wzbroniono. Zezwolona nadal bezseryjność listów dla stowarzyszonych jest dogodna. W ciągu roku sprawozdawczego za nieopłacenie rat sprzedano 3 nieruchomości. Wszystkich obciążonych pożyczką zostało 267.

Odesa. W sądzie rozpatrywano sprawę p. Elżbiety z Lachmanów Przezdzieckiej tudzież jej córki, hr. Maryi Walewskiej Oto osnowa przedmiotu: Przezdziecki umierając, zostawił swój majątek, Czarny Ostrów (około 50,000 dzies.) z fabrykami w gub. podolskiej na dożywocie swej żonie; córka, hr. W., niezadowolona z tego, wystąpiła o unieważnienie ostatniej woli ojca. Sprawa i pobudki wielce znamienne. — Ruch zbożowy coraz bardziej się ożywia. W ostatnich miesiącach różnicę wzrostu wywozu liczyć można na krocie pudów.

SPRAWY EKONOMICZNE

KWESTYA PALIWA U NAS I NA POŁUDNIU.

I.

Od dwóch już miesięcy mieszkańcy miast i wogóle przestrzeni bezleśnych uskarżają się na drożyznę paliwa mineralnego. Skargi te, zrazu luźne i słabe, rosną następnie w stosunku odwrotnym do opadania rtęci i w końcu chórem wołają. Pierwsze promienie wiosenne tłumią narzekania, aż do chłodów jesiennych. Zjawisko to stale co rok się powtarza. Wobecnej porze nowa troska dnia popłynęła szerszą falą i objęła znaczniejsze niż zwykle koła spożywców. Oprócz bowiem Królestwa Polskiego, rozległ się wielki alarm na olbrzymich obszarach stepowych od Donu i Wołgi ku zachodowi i południu, wzdłuż pobrzeża mórz Azowskiego i Czarnego, nad Dnieprem, Bohem, Dniestrem po Prut i Dunaj. Skarżą się już nie pojedyńczy spożywcy, lecz i wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, których siła i życie oparte na ruchu, wywołanym przez paliwo. W obu wypadkach zwrócono uwagę na źródła produkcyi: dąbrowskie i donieckie; zachodzi wszakże różnica w zjawiskach, stwarzających niepomyślne warunki. Zajrzymy do obu ognisk wytwórczości i postaramy się przedstawić wynikającą z niej organizacyę handlu, tem bardziej, że wkrótce węgiel dąbrowski odegra ważną rolę w szeregu środków zwalczania złego na południu, a więc interesy mieszkańców Królestwa i prowincyi stepowych, mają dość silną spójnię. W jakim zaś stosunku wzajemnym znajdą się ich potrzeby — zobaczymy później.

Najpierw musimy się przypatrzyć sprawom bliższym, ku czemu daje nam sposobność i garść materyału — „ankieta“ *Kuryera warszawskiego.* Obejmuje ona wyłącznie Warszawę, ale te same zjawiska typowe dają się spostrzegać i w innych miastach Królestwa Polskiego *). Jest tam wiele braków, wypełnionych przez ogólniki i domysły, ale wynika to z pośpiechu poszukiwań i trudności przedarcia zasłon tajemniczych, pod któremi aferzyści węglowi ukrywają swe interesy przed wzrokiem ciekawym. W każdym jednak razie redakcya zdołała zebrać i ugrupować pewną sumę faktów, które w znacznej mierze wyświetlają sprawę. Posiłkujemy się wybitniejszymi.

Kopalnie dąbrowskie starają się zwykle normować swoją produkcyę odpowiednio do zapotrzebowań, które wynoszą przeciętnie około 800 wagonów dziennie (Rudolf i Mortimer około 250 wagonów, Feliks i Kazimierz 120, Paryż 140, Milowice 30, Czeladź 30, Saturn 100, Renard 80, Jan i Flora 40). Nie są one atoli przygotowane do nadzwyczajnej wytwórczości, gdyż nie rozporządzają odpowiednimi środkami; przedewszystkiem stanąłby na przeszkodzie brak potrzebnej liczby robotników i machin. Zresztą czasem wydobywanie nawet zwykłych ilości węgla utrudniają różne wypadki, jak choroby śród pracowników, zalew zagłębia, pożary, „złe powietrze“ itd. To wszakże nie idzie w rachubę, chwilowy zastój jednej kopalni pokryje praca drugiej. Do zasadniczych przyczyn złego należała dotąd nie skala produkcyi, lecz wedle powszechnego przekonania, źle zorganizowana dostawa. Przed kilku tygodniami, pisząc o niej w notatce, zaznaczyliśmy charakterystyczny brak potrzebnej liczby węglarek na kolei Wiedeńskiej i zwróciliśmy uwagę na nieuwzględnione w tej mierze wnioski zjazdu górniczego. Kolej żelazna przez długi czas traktująca dość obojętnie tę sprawę, ostatnio wzięła ją poważniej, chociaż połowicznie, gdyż zamiast zdobyć się na odpowiedni tabor własny, wynajmuje wagony za granicą. Na schyłku roku zeszłego wzbogaciła się z tego źródła o 800 węglarek, przy tem weszła w umowę z kopalniami, na mocy której te ostatnie powinny zadość uczynić wymaganiom zwiększonej siły przewozowej. Zdarzało się bowiem, że kolej poniosłszy koszt wynajmu, nie miała następnie czem zapełnić wagonów, gdyż wytwórcy węgla nie dostarczali żądanej ilości towaru. Powyższa więc umowa powinna stworzyć nieprzerwaną dostawę, a tem samem przyczynić się do uprzystępnienia cen węgla spożywcom.

Byłoby tak istotnie, kwestya cen odrazu dałaby się rozstrzygnąć, gdyby nie stały tu jeszcze na przeszkodzie inne czynniki, które zaraz wskażemy. Połowę dowozu pochłania Łódź tudzież stacye pośrednie kolei Warszawsk.-Wiedeńskiej: około 400 węglarek dziennie przybywa do Warszawy. Z tego wszakże część zabierają: koleje: Nadwiślańska, Terespolska, Południowo-Zachodnie i Brzesko-Moskiewska; dla samej Warszawy pozostaje przeszło 200 wagonów dziennie i ta ilość podobno zupełnie jest wystarczająca, a gdyby dowóz trwał nieprzerwanie — byłaby nawet za duża. Ale, jak wiadomo, gorączka transportowa trwa tylko podczas największych chłodów. Gdyby zaś mrozy i śniegi niespodzianie przyszły, węgiel sprzedawanoby u nas na wagę złota, jak to już było przed paru laty w czasie przerwy komunikacyjnej. Dawniej obwiniano w tem kolej; dziś ma ona na swe usprawiedliwienie znacznie zwiększoną siłę przewozową.

Właściciele kopalni również nie biorą udziału w sezonowych zwyżkach cen (przynajmniej udowodnić im tego nie można); cała zatem wina spada na wadliwą organizacyę handlową, która się dźwiga i porusza przy pomocy trzech rodzajów pośredników: wielkich kupców, prowadzących wyłącznie handel hurtowy, składników, trudniących się sprzedażą hurtową i drobniejszą i — przekupniów, których zadaniem jest drobna sprzedaż dla ludności niezamożnej i ubogiej. Pierwsze dwie kategorye mają bezpośrednią styczność z ogniskiem produkcyi. Muszą oni kopalniom składać kaucye, mniej więcej około 6,000 rs., od której przemysłowcy nie płacą im procentu, czyli korzystają na idealnie dogodnych warunkach z kapitału obrotowego. Natomiast udzielają kupcom produkt na kredyt miesięczny, który częstokroć

*) O zagłębiu donieckiem i wielkim promieniu jego spożywców mamy dane z innych źródeł.

wynosi około 70 tysięcy rubli (1500 wagonów). Ci hurtownicy pierwszorzędni bynajmniej nie liczą na Warszawę; zbywają oni produkt w Cesarstwie wielkim przedsiębiorstwom, fabrykom itd. Zyski ich są różne; jeżeli interes oparty na kapitałach własnych, dochód może być znaczny, jeżeli zaś na pożyczonych, zarobek względnie do rozmiarów handlu — niewielki. Przy znacznych kosztach dostawy, przechowywania, utrzymania odpowiedniego personelu służbowego, hurtownik podobno zarabia najwyżej rubla na wagonie, tj. jeżeli sprzedaje miesięcznie 1500 wagonów, dochód jego (w sezonie chłodu) wynosi 1500 rs. miesięcznie, z czego atoli trzeba odliczyć na różne straty, utrzymanie biura, procenty od kapitału pożyczonego itd. Powodzenie jego zależy częstokroć od trwałości i siły mrozów; odwilż czasem na znaczne straty narazić może, odbiorcy bowiem nagle cofają zamówienia. Rozważny atoli kupiec, powściągliwy w pogoni za znacznym zyskiem, zawsze dobrze wychodzi. Ale jego powodzenie, oparte na znacznym wywozie do Cesarstwa, jest wielce uciążliwem dla spożywców warszawskich, ceny bowiem węgla tutaj na miejscu rosną w miarę rozszerzania zbytu po za granicami Królestwa. Wynika to stąd, że znaczna większość składników, nie mogąc się zdobyć na stosunek bezpośredni z kopalniami, nabywa produkt od hurtowników, którzy, stosownie do swego ruchu handlowego i zapasów, wyszrubowują ceny. Jeszcze silniej zależność odczuwają drobni przekupnie, którzy gęsto rozsiedli się na pustych podwórzach. Czerpią oni produkt częstokroć z trzeciej ręki i całe swe istnienie opierają na spożywcach niezamożnych. Tym sposobem największy ciężar organizacyi handlowej odczuwa ludność najbiedniejsza, płaci bowiem najdrożej za paliwo.

Wzrost cen idzie od ogniska produkcyi w sposób następujący: Wartość towaru na miejscu zależy od kilku czynników, przedewszystkiem od gatunków, których różnorodność przedstawia się w poniższych cyfrach. 6 pudów węgla najlepszych i powszechnie znanych gatunków *loco* Dąbrowa Górnicza (stacya kolejowa) kosztuje: z kopalni Saturn 41½ kop., Renard 41½, Kazimierz 41½, Paryż 41, Jan 37—38, Flora 37—38 kop.; z innych kopalń 37—38 k. Nadto jeden gatunek różnie bywa ceniony, zależnie od tego, czy hurtownik przedstawia większą lub mniejszą rękojmię. Za dostawę wagonu z Dąbrowy do Warszawy kolej Wiedeńska pobiera 35 rs. 22 kop., czyli 32,06 kop. za 6 pudów. Odpowiednio do tego cena korca węgla *loco* stacya towarowa kolei w Warszawie wynosić powinna: z kopalń Saturn, Renard i Kazimierz 73,56 kop., Paryż 73,06, z innych 69,06 do 70,06 kop. Zwózka ze stacyi do składu w mieście kosztuje niespełna 4 kop. za 6 pud., czyli ceny w składzie zależnie od gatunku towaru powinny wynosić: 77,56, 77,06, 74,06, 73,06 kop. Dodajmy do tego zarobek przedsiębiorcy, wynagrodzenie za jego pracę i koszt utrzymania składu, procenty od kaucyi, ogółem według obliczeń *Kuryera* 3350 rs. (w tem 1500 wynagrodzenia za pracę, nie wymagającą żadnej wiedzy i natężenia). Zadawalając się zarobkiem 10%, przedsiębiorca, chcący pokryć wszelkie wydatki (wraz z przypuszczalnemi stratami), musiałby w ciągu roku sprzedać 450 wagonów węgla (o to chyba nie trudno). W takim razie można nawet podczas zimy sprzedawać w Warszawie 6 pud. (taka ilość używa się jako jednostka *miary*) węgla w gorszym gatunku po 81,47 k., w najlepszym po 85,32 kop. W rzeczywistości jednak płacimy 90,95, a nawet 100 kop. za 6 pud., a więc dajemy zarobku przedsiębiorcom przeszło 15—20%. Składnik, sprzedający dziennie tylko jeden wagon wyborowego węgla po 90 kop. korzec, zarabia 4,398 rs., po pokryciu zaś wszelkich kosztów tudzież procentu 5% od kaucyi, ma czystego zysku 2,048 rs.; przy sprzedaży zaś lichszego gatunku takiej samej ilości, ma o 1,235 rs. więcej. Tem się tłomaczy prawie zupełny brak węgla wyborowego w składach drobniejszych.

Najuciążliwszymi dla ogółu spożywców, szczególnie biedniejszych, są przekupnie. Nabywają oni poślednie gatunki towaru u hurtowników i składników po cenach wysokich, czasem prawie po 90 kop. za 6 pudów. Stąd wynika ich „zdzierstwo,“ tj. sprzedawanie spożywcom po 95—100 kop. za 6 pud., co w gruncie rzeczy nie zapewnia tym aferzystom nawet znośnego utrzymania. Taki bowiem drobny handlarz sprzedać może zaledwie 4—8 wagonów miesięcznie, czyli w najlepszym razie jego zarobek miesięczny po potrąceniu wszelkich kosztów wyniesie 42—84 rs. Znaczna atoli większość w ciągu roku nie zarabia podobno nawet 100 rs., jeżeli prowadzi handel uczciwie. Ponieważ oszukiwanie na wadze i mierze jest zjawiskiem powszednim, można więc przypuścić, iż przekupień tą drogą podwaja i potraja dochód, a więc tem smutniej przedstawia się położenie ubogiego spożywcy. Drobny składnik-spekulant w handlu paliwem jest tem, czem sklepikarz w sprzedaży prowiantów do użytku codziennego. Jeden i drugi wysysa kieszenie niezamożnych konsumentów, po cenach wysokich daje lichy towar i sam nędzę znosi. Te gromady pijawek szkodliwych składają się z byłych woźniców, stróżów, lokajów i drobnych oficyalistów, usiłujących po stracie służby lub zebraniu setki rubli rozpocząć „interes“ na własną rękę, który ich do ostatniej ruiny wtrąca i natomiast pociąga szeregi innych łatwowiernych.

Całe więc zło, jak widzimy, tkwi w organizacyi handlowej, opartej na pośrednictwie. Z niewielkim wyjątkiem, interesy większości składników i hurtowników podobno nie są świetne, przynajmniej w takiem oświetleniu przedstawia je ankieta *Kuryera warszawskiego.* Czy atoli można na tych danych oprzeć gruntowne, pewne wnioski? Redakcya, jak widać, zasięgała wiadomości przeważnie u handlarzy. Któryż z nich, domyślając się, o co chodzi, przedstawi swe położenie prawdziwie? Przedsiębiorca zawsze jęczy i wyrzeka na swój los przed spożywcą, a tem bardziej przed przedstawicielem prasy. Gdybyśmy nawet mieli możność sprawdzenia ksiąg rachunkowych, jeszcze niepodobna byłoby określić czystego zysku handlarza. Nie powiedzą oni również, ile sprzedają; chcąc zaś mieć o tem pojęcie istotne, należałoby urządzić ankietę o wiele szerszą, tj. zebrać dane o ilości pieców i kuchen w całem mieście, o przeciętnej normie paliwa, spożywanego w różnych kategoryach mieszkań. Tych samych wiadomości trzeba byłoby zasięgnąć od wszystkich przedsiębiorstw, fabryk i biur, w końcu obliczyć dokładnie wszystkie trzy rodzaje pośredników. Wtedybyśmy tylko odsłonili względną prawdę. Bądź co bądź, w wielu punktach *Kuryer* wyświetlił tajemnice handlu paliwem i dał przynajmniej w przybliżeniu ogólny obraz rzeczywisty. Ale z jego danych widzimy, że ceny nieracyonalne są stwarzane nietylko przez pośredników, lecz i przez same kopalnie; np. kolej Wiedeńska, pomimo iż jest w kraju największym odbiorcą, otrzymuje na miejscu towar niewiele taniej (41½ kop. za korzec najlepszego gatunku); niż znacznie mniejsi hurtownicy, a nawet czasami płaci tyleż, co oni.

Dziś już wiemy, że warunki komunikacyjne, wpływające na ceny węgla, nie są trudne do usunięcia, gdyż oprócz zwiększenia siły przewozowej, łatwo wprowadzić odpowiednie ulgi taryfowe (wedle żądań, wyłuszczonych na zjeździe górniczym). Zapobiegłyby one w znacznej mierze brakowi towaru w składach, gdyż pomimo że interesowani przedsiębiorcy tłomaczą się niemożnością czynienia zapasów wcześnie, bo węgiel w ciągu trzech miesięcy „lasuje się,“ jednakże normowanie tych zapasów można już rozpocząć bez żadnych strat w początkach jesieni.

Wszystko to jednak są półśrodki; przy wszelkich bowiem ulepszeniach tego rodzaju, ceny co najwyżej mogą w mniejszym stopniu podlegać wahaniom, nigdy jednak spożywca ubogi lub średnio zamożny nie otrzyma towaru względnie taniego w dobrym gatunku, dopóki trwać będzie organizacya handlu w obecnej formie. Jaką ona być powinna — zobaczymy w dalszym ciągu.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Nowe rynki. Zamknięte lub utrudnione chwilowo źródła zbytu za granicą dla zboża ruskiego, wpłynęły na rozglądanie się handlarzy, wytwórców tudzież ich doradców, w innych kierunkach, dotąd lekceważonych. Między innemi wskazują Turcyę. Z powodu nieurodzaju, trwającego tam dwa lata, szczególnie w prowincyach, sąsiadujących z granicą ruską, ceny zboża wzrosły przeszło dwukrotnie. W istocie okoliczność ta jest zachęcająca. Interesowani wskazują atoli przeszkody bardzo ważne: cło ośmioprocentowe, pobierane przez rząd turecki od ziarna zagranicznego. Jednakże wobec wysokich cen cło to staje się mniej uciążliwem, zresztą może Turcya, zubożała w produktach rolnych przez klęski żywiołowe, zechciałaby dla własnej korzyści poczynić pewne ustępstwa, gdyby jej to wyraźnie zaproponowano i zwrócono uwagę na doniosłość tych źródeł, z których może czerpać ziarno dla swej ludności: *Nowoje Wrem.* z tego powodu pisze: „Kto wie, czy rząd nasz nie skłoniłby Porty do zniesienia cła, choćby tylko tytułem środka czasowego.“ Środek ten zastosowany w chwili ciągłego jeszcze wahania się układów berlińskich, wpłynąłby niewątpliwie na przyśpieszenie ich końca z korzyścią dla Rosyi.

— W Petersburgu na posiedzeniu Towarzystwa popierania przemysłu i handlu odczytano prośbę członków oddziału łódzkiego o nieuwzględnienie podania pewnej grupy kupców, uczynionego na jarmarku niższo-nowogrodzkim. Interesowani żądali opodatkowania komisantów handlowych i agentów osobną opłatą. Oddział łódzki mniema, że w interesach handlu należy dążyć do powiększania liczby komiwojażerów, a nie zmniejszania. Zanim Główne Towarzystwo odpowie, musi się porozumieć z oddziałem moskiewskim.

— Na ostatnim zjeździe kolejowym poruszono projekt unormowania opłat za przewóz towarów z okręgów przemysłowych warszawskiego i moskiewskiego za granicę przez port odeski. Obecnie zapadła w tej sprawie uchwała ministeryum komunikacyi i skarbu, skutkiem której postanowiono za porównawczą przyjąć opłatę praktykowaną na przestrzeni najbliższej Warszawa-Odesa: przyczem od wszystkich stacyi dalej położonych doliczać się będzie za różnicę całej odległości po $^1/_{125}$ kop. od puda i wiorsty. Rezultat w porównaniu z kosztem przewozu z Moskwy do Odesy da różnicę $3^1/_4$ kop. od puda na korzyść Warszawy. Podług tej normy opłata z Łodzi do Odesy będzie o 1 kop. na pudzie droższa niż z Warszawy. Przepis powyższy ma na względzie uregulowanie współzawodnictwa w komunikacyach z półwyspem Bałkańskim.

— *Mosk. Wied.* piszą, iż ministeryum skarbu wyrzekło się nadania jakichkolwiek ulg syndykatowi wytwórców nafty.

PRASA RUSKA.

Żurnał minist. narodn. prosw. pisze (według *Słowa*):

„W roku minionym spróbowano wprowadzić wykład języka ruskiego w trzech czy czterech liceach paryskich. Dotąd nic jeszcze nie można powiedzieć o rezultatach nauki; ujawnią się one dopiero po upływie roku szkolnego. Co do mnie — pisze autor — to sceptycznie zapatruję się na tę nowość w liceach francuskich.

Dzieci nie mogły nigdy tak dobrze nauczyć się języka greckiego, żeby mogły naprzykład czytać gazety, wydawane w języku greckim, gdyby zresztą istniały takie dzienniki; otóż wątpię bardzo, żeby zdołały sobie przyswoić gramatykę ruską. Próbę trzeba byłoby zastosować w wykształceniu wyższem. W Lille miał miejsce taki przykład. Na rozpoczęte wykłady języka ruskiego zjawiło się dużo handlujących i przemysłowców, którzy wyobrazili sobie, że języka ruskiego można się uczyć tak samo łatwo, jak angielskiego lub włoskiego. Skoro wykładający doszedł do deklinacyi, słuchacze przestraszyli się, nie słyszeli nigdy nic o narzędniku lub miejscowniku, czyli szóstym i siódmym przypadku, a gdy następnie przyszła kolej na czasowanie słów, słuchacze rozbiegli się, znikli poprostu i pozostali tylko poważniejsi w liczbie dwunastu, właściwie — tylko nauczyciele liceów i oficerowie garnizonu miejscowego. Wogóle pośród wojskowych ujawnia się niekłamana chęć przyswojenia sobie „języka przyjaciół.“

KRONIKA.

Doniesienia urzędowe. Minister sprawiedliwości, p. Manasejn, został uwolniony od obowiązków, z powodu słabości zdrowia. Natomiast sekretarz państwa, p. Murawjew, mianowany zarządzającym ministeryum sprawiedliwości; towarzysz ministra spraw wewnętrznych, p. Plewe — sekretarzem państwa.

Sprawy społeczne. Władza powiatowa rozesłała wójtom gmin rozporządzenie, dotyczące odpowiedzialności ziemian za ukrywanie przed urzędami epizootyi.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zajęte jest ustawą normalną dla stowarzyszeń (kuratoryów) trzeźwości, z dość szerokim zakresem. Należeć do nich będzie: zakładanie herbaciarni, urządzanie odczytów, rozpowszechnianie broszur, tworzenie przytułków itd.

— *Kuryer warsz.* zaznacza, iż włościanie w Królestwie Polskiem coraz chętniej otaczają ptactwo opieką. W pow. warszawskim, grójeckim i nowomińskim w bardzo wielu wsiach pourządzali „remizy“ dla kuropatw. Towarzystwo łowieckie zbiera adresy takich opiekunów.

Szkoły. W ciągu bieżącego roku ministeryum dóbr państwa otworzy kilkanaście niższych i średnich szkół rolniczych, przeważnie w prowincyach południowo-zachodnich.

— P. Maryan Regulski, po obronie rozprawy na temat *Beitrag zur Statistik und Klinik der Lippencarcinome*, otrzymał stopień doktora medycyny uniwersytetu jurjewskiego.

— P. Anna z Dulębów Wyczałkowska po zdaniu egzaminu *cum eximia laude* i po obronie rozprawy o poglądach Schopenhauera na wolną wolę w zestawieniu z poglądami Kanta i Schelinga, uzyskała stopień doktora filozofii na uniwersytecie w Zurichu.

— W Charkowie powstanie nowy Instytut agronomiczny.

— Na ostatniem posiedzeniu rady uniwersytetu warszawskiego zatwierdzono w stopniu podaptekarza p. Augustę Pasierską, pierwszą uzdolnioną kandydatkę do zawodu farmaceutycznego.

Sprawy kolejowe. Do ministeryum skarbu wniesiono zarys ustawy Towarzystwa akcyjnego, które zajmie się budową kolei z Żytomierza do linii Poleskich.

— Na wszystkich kolejach rządowych zniżono opłatę dla jadących na kuracyę osób pokąsanych przez wściekłe zwierzęta.

Komunikacye. Z Petersburga wyjeżdża delegacya dla zbadania rzeki Amuru. Wyrusza ona drogą lądową na dwa lata. Na koszt wyprawy, złożonej z oficera marynarki, inżenierów i topografów, wyznaczono 70,000 rs.

Sprostowanie. W n-re 2 *Prawdy* skutkiem podobieństwa nazwisk popełniono omyłkę, zmieszano bowiem firmę H. Cara z firmą F. Cara. Otóż p. H. Car prosi nas o wyjaśnienie: 1) że on wcale nie wpływał na wzmiankę o kupieniu u niego okrycia przez E. Palladino, 2) że zajście z panną sklepową nie zdarzyło się u niego.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Ценсурою, Варшава 7 Января 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.